ZABAWKI
RYMOTWÓRCZE.

TOMIK III.

ZABAWKI RYMOTWÓRCZE

STANISŁAWA JASZOWSKIEGO.

TOMIK TRZECI.

I w tak nizkim zawodzie można nabyć chwały,
Byle natchnął Apollo, i Muzy sprzyiały.

Wirgil.



WE LWOWIE, 1826.
DRUKIEM PIOTRA PILLERA.

DÓM MODNY.

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH WIERSZEM.

NAPISANA ROKU 1824.

Nie dosyć iednak umieć ludzkie wyimiać wady,
Trzeba nam ieszcze cnoty wystawić przykłady.

Dmóchowski.

WIELMOŻNEMU

ADAMOWI

ROŚCISZEWSKIEMU

W DOWÓD

GŁĘBOKIEGO UPOWAŻENIA

POŚWIĘCA

AUTOR.

WSTĘP.

Jak we wszystkiém, tak i w Komedyach oryginalnych ubodzy iesteśmy, teatra nasze żywią się po naywiększéy części tłómaczeniami z ięzyków obcych i widzieć na Scenie polskiéy oryginalną polską Komedyą, iestto wielkie ziawisko. Wyliczyćby można na pamięć wszystkie Komedye wyszłe od czasów Bohomolca do naszych czasów, nazwiska Czartoryskich, Kossakowskich, Mowińskich (Krasickich), Zabłockich, Drozdowskich i tylu innych, są ieszcze tylko po dziełach bibliograficznych wspominane. Nikt i im iednak nie zaprzeczy zasługi przynaleźnéy i owszém wdzięcznymi im być powinniśmy, oni albowiem staraniem swoiém i pracami swoiemi obudzili zamiłowanie do Sceny oryginalnéy i przekonali w pomyślnieyszych późniéy skutkach, iak błahym był przesąd, że tylko w ięzyku Moliera można pisać dobrą Komedyą i że nad Sekwaną iedynie prawdziwa świątynia Talii. Późnieysi w dziełach zupełnie dobrych, iak P. Niemcewicz w *Powrocie Posła*, Bogusławski w *Spazmach modnych*, Tetmeier w *Zgodzie w Oberzy*,

Kamiński (J. N.) w *Krakowiakach*, Dmuszewski i Majeranowski w kilku wesołych sztukach, a szczególniéy Alex. Hra. Fredro we wzorowych Komedyach swoich pokazali, że ieśli tym sposobem daléy postępować będą talenta komiczne w Polsce, nietylko że obcym nic iuż z tego względu zazdrościć nie będziemy, ale i owszém zbogacimy ieszcze repertoarze teatrów zagranicznych dotąd tak rzadkiemi tłómaczeniami z polskiego. *) Próbuiąc sił moich w zawodzie Sceny komicznéy, bynaymniéy nie krzepiłem się otuchą, że stanę w rzędzie powyżéy wzmiankowanych Autorów, chciałem tylko, gorliwością o wzrost oyczystéy Literatury powodowany, rzucić kilka choć mniéy znaczących i woni niewydaiących kwiatów na ołtarz oyczyzny:

Szczęśliwy! ieśli pracuiąc od młodu
Do chwały ziomków, do dobra narodu
Choć w iakiéy cząstce małéy się przyłożę:
Ten daie wiele, kto daie, co może.

---

*) Dotąd, ile mi wiadomo, te tylko polskie Komedye na ięzyki obce przekładane były: *Powrót Posła* P. Niemcewicza, przełożył nasz niespracowany Linde; *Mąż i Żona* Komed. Alex. Hr. Fredra iest iuż przełożona na ięzyk francuski i niemiecki. Ostatniego *Zrzędność i przekorę* i *Krakowiaki* J. N. Kamińskiego widziałem w rękopiśmie przełożone na ięzyk niemiecki przez Galicyanina de Pollenburga, a Kom. Op. P. Dmuszewskiego: *Szkoda wąsów*, widziałem raz we Lwowie na Scenie niemieckiéy.

DÓM MODNY.

KOMEDYA

WE TRZECH AKTACH.

O S O B Y:

STAROSTA.
LUDMIŁA | EUFROZYNA | AMALIA } Córki iego.
BOGACKI, Hrabia.
BARON WIETRZNICKI.
CHAPTOSZ, lichwiarz.
JEAN, kamerdyner Starosty.
MARYSIA, pokoiowa Staróścianek.
MACIEK, woźnica Bogackiego.

Scena w Warszawie, w pałacu Starosty.

AKT PIERWSZY.

(Salon pysznie umeblowany. Kanapa po prawéy, krzesła koło kanapy, zwierciadło duże po lewéy stronie.)

SCENA I.

STAROSTA, LUDMIŁA, EUFROZYNA, AMALIA.

STAROSTA.

Vraiment, iakem Starosta, mówię prawdę szczérą,
Oto list z Jarosławia dostałem dopiéro.
Młody Hrabia Bogacki dziś ieszcze przybędzie
I w ludzi nayszczęśliwszych umieści mnie rzędzie.
Słysząc o rodzie moim, o moich zaszczytach,
Żem iest z linii prostéy potomek po Kmitach,
Że Hrabstwo nasze kilką wiekami wsławione,
Przyiedzie i z was iednę poiąć chce za żonę.

LUDMIŁA.

Papo! wieści przyiemne twoie usta głoszą,
Mieć Hrabiego małżonkiem, wielką iest roskoszą.
Nigdybym za prostego nie poszła ślachcica,
Choćby był nadobnego iak Adonis lica.

STAROSTA.

Hrabia, lecz herby nasze dawnieysze daleko:
Zygmunt, naddziada mego trudnił się opieką;
Pradziad móy marszałkował na Augustów Dworze,
Przed nim nie ieden panek zginał się w pokorze.
Móy dziad... lecz dosyć na tém, pieniądze ma Hrabia,
A to go tyle, ile herby przyozdabia.
Wszak wiécie, że mam długi, żem iak święty goły:
Tańcuiące herbaty i otwarte stoły
Tak znacznie duże moie dobra zadłużyły,
Że żyć iak dotąd wkrótce nie stanie mi siły.
On zaś strasznie bogaty, iestto Krezus nowy:
Można mówić, maiątek ma milionowy,
Na Podolu dwa klucze, w Krakowskiém dwie wiosek,
Nie zapyta się nawet o córek mych wniosek.
Gdy która z was w miłośne uymie go ogniwa,
Cała nasza rodzina zostanie szczęśliwa.

EUFROZYNA.

Tak ogromny maiątek! Co za miłe brzmienie!
Mieć takiego małżonkiem, słodkie przeznaczenie!

AMALIA.

Jeśli ón nie iest dobry, roztropny i miły,
We mnieby wioski iego uczuć nie wznieciły.
Niech inna do maiątku serce swoie skłania,
Ja nie tylko maiątku, ia żądam kochania.

LUDMIŁA.

Jak widzę Amalia w uniesienie wpada.

EUFROZYNA.

Śmiészną iest ta niezgrabna w twych ustach zasada.

LUDMIŁA.

Zawsze parafialność w każdém twoiém zdaniu.

EUFROZYNA.

Jeżeli ma smak dobry, zginiesz w porównaniu.

STAROSTA.

Basta! po co tych sprzeczek, stan mego maiątku
Wymaga w losie waszym wielkiego rozsądku.
Nie wiém, czyli ma Hrabia powierzchowne wdzięki,
Ale kiedy zażądał od iedney z was ręki,
Którą zechce, póyść musi za niego niezwłocznie:
Miarkuycie tylko same: Sto tysięcy rocznie.
Choćby równie iak szatan wyglądał niemile,
Nie może ón być brzydkim, gdy ma wiosek tyle.
Równą miłością oyca ku wam uniesiony,
Chętniebym was trzy razem oddał mu za żony,
Ale to nie uchodzi... nasze obyczaie...
Ten mądry, który na tém, co może, przystaie.

LUDMIŁA.

Ja z kochanego Papy zgadzam się rozkazem.

EUFROZYNA.

Dla mnie iest słowo oyca nayświętszym wyrazem.

LUDMIŁA.

Niech będzie brzydki, nudny, obciążony laty,
Gdy mi go papa daie (*na stronie*) i gdy ma dukaty,
(*głośno*) Godzien miłości moiey, godzien moiey ręki!
Niczém u mnie młodości zbyt nietrwałe wdzięki,
Gdy nawet szpetny, niech się odkosza nie boi:
Źle ta czyni, co tylko za pięknością stoi.
Piękni mężowie często zwodni i niestali,
Żonom niewierni, codzień inneby kochali.

Ale brzydki przeciwnie, przy nadobnéy żonie
Rospływa się z radości, w uniesieniach tonie.

EUFROZYNA.

Siostro! z ust moich twoie wyięłaś wyrazy:
Panny, nie bierzcie pięknych, powtarzam sto razy.
Lubiąca pięknych tylko bez wątpienia płocha,
Piękny siebie, a brzydki tém lepiéy nas kocha.

STAROSTA.

Więc rzecz iak ukończona, póydziecie z ochotą.
Cieszmy się, w domu naszym znowu będzie złoto.
Pan Hrabia musi dawać wieczory i bale,
Poiąwszy córkę moię, żyć musi wspaniale,
Mieć ekwipaże modne, dóm prowadzić modny,
Inaczéy byłby ze mną łączyć się niegodny.
Gdy przybędzie, wy wszystkie do walki gotowe,
Staraycie się wdziękami zaprzątnąć mu głowę.
Cokolwiek zalotnictwa wcale nie zawadzi,
Słuchaycie rady moiéy, wszak to oyciec radzi.
Niech go wszystko czaruie: weyrzenie, wymowa,
Pieszczotliwy rzut oka, pieszczotliwe słowa,
A którey z ręką swoią złoży hołdy winne,
Niech iéy tego bynaymniéy nie zazdroszczą inne.

(*Odchodzi*)

AMALIA (*do pozostałych*).

Pewnie serca moiego taki nie rozżarzy,
Który byłby niezgrabny i nieładnéy twarzy,
Lecz co naywięcéy, dobrym musi być koniecznie.
O móy Boże! Czyż z takim mogłabym żyć wiecznie,
Który innego ze mną sposobu myślenia,
Siebie zbyt wiele, drugich zbyt mało ocenia.

Samolubny, nieszczęściem drugich nie zaięty,
Tylko w zbieraniu złota znayduie ponęty.
Jeżeli taki Hrabia, trzymaycie go sobie,
Nie chcę być nieszczęśliwą, ofiary nie zrobię,
Ale ieżeli ładny, grzeczny i wspaniały,
Jeżeli dobre serce niebiosa mu dały,
Wtedy i ia do walki stanę razem z wami. (*wybiega.*)

SCENA II.

LUDMIŁA, EUFROZYNA.

LUDMIŁA.

Śmiać się muszę, iak wielką próżnością się mami.

EUFROZYNA.

Nadaremnie, ón na nią i patrzéć nie będzie.

LUDMIŁŁA.

Jak niesłychana śmiałość, z nami stawać w rzędzie!

EUFROZYNA.

Parafialna kibić, wymowa prostacza!

LUDMIŁA.

Czémże od nas celuie, czémże się odznacza?
Gdy tu tymczasem...

EUFROZYNA.

Tobie składa hołd świat cały.
(*na str.*) Pewnie ona uwierzy w te moie pochwały.

LUDMIŁA.

Twoie piękne śpiéwanie czarnie słuchaczy.
(*n. s.*) Lecz daleko im miley, kiedy przestać raczy.

EUFROZYNA.

Kiedy tańczysz, twa zręczność każdy krok umila.
(*n. s.*) Ona lichego nawet fałszuie kadrylla.

LUDMIŁA.

W rysunku twoim same czułości wyrazy.
Jak boska wyobraźność! (*n. s.*) Wielkie bohomazy!

EUFROZYNA.

Graiąc na fortepianie wydobywasz tony,
Jak druga Szymanowska. (*n. s.*) Rozdźwięk uprzykrzony.

LUDMIŁA.

We wszystkiem, co iest piękne, przepisuiesz prawa,
Kibić twoia zachwyca. (*n. s.*) Przesadna postawa.

EUFROZYNA.

Jeśli Hrabia ma oczy, na cię wybór padnie.
Zaymą go twe powaby. (*n. s.*) Toby wyszedł ładnie.

(*Ludmiła nadęta pochwałą siostry poprawia sobie przy źwierciedle włosy.*

LUDMIŁA.

Jakże ci się podoba ubranie mey głowy?

EUFROZYNA.

Bardzo ci w niem do twarzy.
(*zaledwo mogąc wstrzymać się od śmiechu, na str.*)
Koczkodan gotowy.

LUDMIŁA (*oglądaiąc suknią swoię*).

Pewnie mu się podoba to garnirowanie?

EUFROZYNA.

Pochwali ie zapewne. (*n. s.*) Jeśli złe ma zdanie.

LUDMIŁA.

(*przechadzaiąc się dumnie po pokoiu*)
Gdy mnie z upodobania wybierze za żonę,

Zwiedzę z nim Europy miasta ulubione.
Paryż mnie bawić będzie.

EUFROZYNA.

(*zapomniawszy się z równą przechadza się dumą*)
Mnie Londyn ciekawy.
Codziennie nowe gusta, mody i zabawy.

LUDMIŁA.

Lato strawimy w Baaden, lub w miłym Karlsbadzie,
Tam na każdym teatrze, każdey promenadzie
Celować będę pierwsze osoby ubiorem.

EUFROZYNA.

Ja w Trenczynie dobrego smaku będę wzorem.

LUDMIŁA.

Będziem grywali w karty l'hombra, faraona....

EUFROZYNA.

Ah! boski l'homber, grato moia ulubiona!

LUDMIŁA.

Czasem literatura chwil mi zaymie parę,
Świętym Sekwany Muzom zapalę ofiarę.

EUFROZYNA.

U mnie co tydzień wieczór, co miesiąc dwa bale.

LUDMIŁA.

Moie w samym Paryżu słynąć będą szale.

EUFROZYNA.

A ieśli pan mężulko skąpym się okaże,
Ja go natychmiast z serca moiego wymażę.

LUDMIŁA.

Jabym się z nim rozwiedła, a zapłaci ieszcze:
Żeby czynił co każę, krótko mu obwieszczę.
Wszakli na to w małżeńskim pragniemy żyć stanie,

By mąż ku nam nayniższe znał uszanowanie.
Pierwszy sługa swey żony, w głębokiey pokorze,
Niechay iey nadskakuie, niech czyni, co może,
Ona tę grzeczność iego maiąca na względzie,
Może mu sprzyiać, ieśli innego nie będzie.

SCENA III.

DAWNIEYSI, AMALIA.

AMALIA (*daiąc siostrom bukiety*).

Oto wam te bukiety przyniosłam z ogrodu,
Używałam w altanie przyiemnego chłodu,
A potém po ogrodzie pobiegałam chwilę;
Patrzałam, iak po kwiatach igrały motyle.

LUDMIŁA.

Ciebie zawsze naymnieysza drobnostka zachwyca,
Po co chodzisz po słońcu, opalisz twe lica.

AMALIA.

Nie myślę ia rozrywki zrzekać się dla twarzy:
Lubię patrzéć w ogrodzie na pracę plewiarzy,
Chciałam widziéć, czy kwiaty posadzono w rzędy,
Obeyrzałam kwatery, i kląby i grzędy,
Nie ieden kwiat, nie ieden poprawiłam krzaczek;
Czasem miło mi przybyć do grona wieśniaczek,
Uyrzéć, iak dla nich prawem każda moia rada.

LUDMIŁA.

Rozmawiać z wieśniaczkami Damie nie wypada.
Osoby nam podobne różnić się powinny:
Ta przystępność naganna, ten obyczay gminny.

EUFROZYNA.

Ja mówię z wieśniaczkami, lecz w wielkiéy potrzebie.

AMALIA.

Powiédz, w czémże wieśniaczka gorszą iest od ciebie?
Nie ma wprawdzie talentów, czucia nie udaie,
Ale ma dobre serce, proste obyczaie.

LUDMIŁA.

Ty zawsze zdania płaskie wspierasz uporczywie.

AMALIA.

Nie trzymam się przesądów, lecz mówię prawdziwie.

EUFROZYNA.

Nie uważasz, z iakiego pochodzimy rodu.

AMALIA.

Nie cenić urodzenia uczono mnie z młodu.
Wy w stolicy, na wielkim wychowane świecie,
Słusznie, że urodzenia blaski szanuiecie;
Dla mnie nie w miast hałasach, lecz na wsi wiek złoty,
Gdzie nie żądaią herbów, ale serca, cnoty.
Wychowana u babki, na łonie natury,
Polubiłam gaiki, ustronia i góry.
Nie mam tego wam za złe, ieśli w waszém mieście,
Tak nieprzyiaciołkami natury iesteście.
Kto raz miasto polubił, to miesce zepsucia,
Nie może na roskoszy wioski mieć uczucia.

LUDMIŁA.

Możebyś chciała, byśmy twoim idąc smakiem,
Zatrudniały się na wsi kądzielą, przetakiem,
Wzrastaiących na polu doglądały plonów,
Patrzały na karmienie gęsi i kapłonów;

Możebyś się Hrabiemu z tego podobała,
Żeś się w roskoszach wieyskich tak zamiłowała,
Jeśli wychowanemu śród rozrywęk gminnych
Nie znane są uczucia i zabawy innych,
Ale wkrótce przy boku moim się przekona,
Jakim iest skarbem wzięta ze stolicy żona.
Pozna, iak wielka w mieyskich uciechach ponęta,
Będzie umiał zaszczytnie szanować talenta
I sam potém o wiosce nie wspomni bez wstrętu,
Gdy tymczasem bezemnie zdziczałby do szczętu.

EUFROZYNA.

Krzywdzisz mnie siostro, iażbym, ieśli go dostanę,
Nie potrafiła taką zrobić z nim odmianę?
Czyliż więcéy odemnie świat wielki ci znany
Więcéy odemnie czczony i więcéy kochany?
Czyż równie iak ty nie znam trudnéy do nabycia
Sztuki dobrego smaku, światowego życia?
Nigdym nie zwykła moią chełpić się osobą,
Lecz może byłby ze mną szczęśliwszy, niż z tobą.

LUDMIŁA.

Z tobą? Co słyszę? Tyle uprzedzeń w twéy głowie,
Nikt cię doskonałości obrazem nie zowie.

EUFROZYNA.

Wszak samaś mi przed chwilą prawiła pochwały.

LUDMIŁA.

A tyś im uwierzyła? Jak twóy rozum mały!

EUFROZYNA.

To żartowałaś ze mnie? Przyczynę zgaduię.
Dobrze i ia com rzekła, wszystko odwołuię.

LUDMIŁA.
Piękny Szambelan sam mi przyznał wdzięk uroczy.
EUFROZYNA.
Nie wiesz, iak z ciebie nie raz szydził po za oczy.
LUDMIŁA.
Radca Stanu czyż za mną nie szalał z kochania?
EUFROZYNA.
Prawda, ten biedny Radca wart politowania.
LUDMIŁA.
Referendarz był także w mych kochanków rzędzie.
EUFROZYNA.
I cóż miał czynić, kiedy ścigałaś go wszędzie.
LUDMIŁA.
A nasz Baron?
EUFROZYNA.
O! żadney nie miey w nim nadziei,
On wszystkie kocha stale, wszystkie po kolei.
LUDMIŁA.
Wiem o tem, że Amorek serce mu zapalił.
EUFROZYNA.
Ręczę, nie umrze z żalu, gdyby się oddalił.
LUDMIŁA.
Co? i ta uszczypliwość do mnie powiedziana?
AMALIA. (*na stronie*)
Póydę, nie skończą kłótni do samego rana.
(*odchodzi*)
LUDMIŁA.
Za kogoż ty się trzymasz, sądząc o mnie mało?
EUFROZYNA.
Cieszę się, że mi niebo twych wdzięków nie dało.

LUDMIŁA. (*z ironią*)
Pięknaś bardzo, kochanków miewasz tuzinami.
EUFROZYNA.
Wiesz, że się tak małemi nie trudnię rzeczami.
LUDMIŁA.
O pewnie, gdy cię nie chcą, udaiesz wspaniałą.
EUFROZYNA.
Nie chcę sama się wpraszać i iak ty być śmiałą,
Jednakże potrafiłam uiąć Jenerała.
LUDMIŁA.
Którego w starém winie iest zasługa cała.
EUFROZYNA.
Zawsze ón włosy moie, oczy moie chwalił.
LUDMIŁA.
Wziął od cię lok wieczorem, a nazaiutrz spalił.
EUFROZYNA.
Wszakże sama wiesz o tém, iak przeszłego roku
Kasztelanic odemnie nie odstąpił kroku,
Upraszał mnie o rękę choć z przymiotów słynął.
LUDMIŁA.
A gdy przyszło do rzeczy, chorągiewkę zwinął.

SCENA IV.

DAWNIEYSI, STAROSTA.

STAROSTA.

Już do wszystkich oberzy wyprawiłem Jeana,
Wszakże młody Bogacki miał przyiechać z rana,
Ten frant pewnie go znaydzie choćby u rogatki:
Wyśmienity na posła, z przebiegłości rzadki.

LUDMIŁA.

O! iakżem Bogackiego obaczyć ciekawa!

STAROSTA.

Jestto parafianin, więc łatwa z nim sprawa.
Jednakże, abym przed nim wydał się ślachetnie,
Trzeba mi się okazać gustownie i świetnie.
Wiém, że widok bogactwa poi czuciem miłém,
Przeto paradne srebra w sklepie pożyczyłem,
Rozkazałem na kredyt zamówić pasztety,
Torty i marcypany, i lody i wety.
Do mych czterech lokai dwóch naiąłem nowych:
Wszyscy dzisia wystąpią w ubiorach galowych:
A że Hrabia być musi przyiacielem wina,
Wziąłem także *a conto* starego węgrzyna.
Nie wątpię, że mu pewnie dóm móy się podoba:
Niechno się tylko dobrze rozgadamy oba.
Jak mu powiém o moiéy przesławnéy rodzinie,
Która iuż od dwu wieków po herbarzach słynie,
Jak jenealogiczne pokażę mu drzewo,
Rozgałęzione mocno i w prawo i w lewo,
Choć wié iuż o mych przodkach, mam iednak nadzieię,
Że odchodząc od zmysłów całkiem osłupieie;
A iak pokażę wioski moie na papierze,
Oszaleie z radości, powiadam wam szczerze
I iednéy z was z ochotą odda rękę swoię.

SCENA V.

DAWNIEYSI, JEAN.

JEAN.

Nie daremnemi były bieganiny moie,
Już iest, sam go własnemi widziałem oczyma,

Jak przyiechał do miasta, pół godziny niéma,
Ja natychmiast do państwa tę wiadomość niosłem.

EUFROZYNA.

Już przyiechał?

STAROSTA.

Gdzież stoi?

JEAN.

Pod różowym osłem.

LUDMIŁA.

Fi donc! Pod osłem? Jakie niezgrabne nazwisko!

JEAN.

Przywlekło go tu do nas stare karécisko,
A konie iak raymundy, iakiś drągal z tyłu,
Cały okryty chmurą kurzawy i pyłu.

EUFROZYNA.

Jak wygląda?

JEAN.

Dość młody, uprzeymy i miły,
Lecz go gracye wieyskie śmiésznie ustroiły.
Wszystko na nim odwieczne, wszystko staroświeckie,
Sam nie wiém, niby polskie, nibyto niemieckie,
Zgoła dziwne, a sługa wart takiego pana,
Miał na sobie kapuzę i płaszcz po kolana.
I choć dzisia gorąco, nie uważał na to:
W czémże ón chodzi w zimie, kiedy tak przez lato!

STAROSTA.

A cóż czynił wysiadłszy?

JEAN.

Zaglądnął do trzosu,
Coś dobywał.

LUDMIŁA.

A potém?

JEAN.

Wziął się do bigosu.

STAROSTA. (*z komiczném westchnieniem*)

Trzos iego pewnie samém złotkiem napełniony!

JEAN.

Zapewne; w oczach moich zmienił dwa dublony,
Poczém tutay przybiegłem.

STAROSTA.

Idźże teraz Jeanie
I rozkaż, żeby było gotowe śniadanie.
Żadnych wizyt nie przyymę. (*z cicha do niego*) A mych wierzycieli
Pamiętayże nie wpuszczać, ieśliby weyść chcieli.
Zawołasz mi Chaptosza. (*do córek*) A wy idźcie obie.
Mam interesa.

(*córki odchodzą, lecz widać, że w gniewie*)
(*do Jeana*) Idźże!

JEAN.

Dobrze! Wnet to zrobię.

(*Chce odchodzić, w tém we drzwiach spotyka Chaptosza, kłania mu się pokilkakrotnie i wprowadza go z ceremoniami.*)

JEAN. (*na stronie*)

Właśnie o wilku mowa, a wilk się przybliża.

CHAPTOSZ.

Jak się masz kochaneczku? (*dobywa tabakierki*)
Zażyy! (*gdy Jean się waha*) Dobra! świeża!

JEAN. (*zażywszy tabaki*)
Dziękuię; Pan przybywasz gdyby zawołany.
(*Odchodzi.*)

SCENA VI.

STAROSTA, CHAPTOSZ.

STAROSTA.
Witayże zacny gościu, gościu pożądany,
Właśnie potrzebowałem pomocy od ciebie:
Pożycz mi sto dukatów i wesprzyy w potrzebie.
Procentu ci zapłacę z góry po trzydzieści.

CHAPTOSZ.
Dalibóg! Nieprzyiemne mówisz mi Pan wieści.
Przychodzę po dług stary, Pan chcesz robić nowy:
Dalibóg! teraz rzadki, rzadki grosz gotowy!
Mogę służyć tabaczką? (*częstuie*) Nieoszacowana
Hiszpanka i z wonnemi proszkami zmięszana.

STAROSTA.
No iakże?

CHAPTOSZ.
Dałbym z duszy, nie mam i szeląga.
(*Wyymuie z kieszeni w funciku tabakę i wsypuie ią do tabakierki.*)

STAROSTA.
Uważam, iak Pan Chaptosz ze mnie się urąga!
Chaptosiu, tyżbyś nie miał, do którego w biedzie
Każdy śmiało się ciśnie i o pomoc idzie,
Który daiąc na skrypta, na dobra i fanty,
Wspierasz magnatów naszych, nasze eleganty.
Którego cnota słynie po całey stolicy,

Którego rozum wstydem nie iedney wszechnicy,
Który...

CHAPTOSZ.

Mości Starosto! zawstydzasz mnie, proszę;

STAROSTA.

Widzieć ciebie w mym domu, iak wielkie roskosze,
Lecz nie bądź nieużyty i nieubłagany:
Jedney z mych córek wielki Pan przyobiecany,
Dostanę bogatego zięcia niezawodnie,
A wtedy ci zapłacę, nagrodzę cię godnie.
I cóż! nieprawda, że cię to posmarowało?

CHAPTOSZ. (*zażywa tabakę*)

Co ia słyszę!

STAROSTA.

No, iakże? dasz? wszak żądam mało.

CHAPTOSZ.

Sto dukatów, to mało? Pan żartować raczy:
Dziś nawet ieden kulfon bardzo wiele znaczy.

(*po chwili*)

Któż będzie pańskim zięciem, ieśli wolno pytać?

STAROSTA.

Oto masz list Chaptosiu, możesz go przeczytać.
(*Daie mu list, Chaptosz długo po kieszeniach szuka okularów, nareszcie znayduie i na nos ie zakłada.*)

CHAPTOSZ.

Dalibóg rzadkie szczęście! partyyka nielada:
Pan Bogacki spleśniałe dukaty posiada.
Znałem ia oyca iego, co zebrał, to schował,
Przez całe życie tylko dukaty wexlował.

STAROSTA.

No iakże? Hipoteka nie iest wyśmienita?

CHAPTOSZ.

Prawda, lecz ia nie daię więcéy na kredyta.
Na srebro, tobym dostał może z drugiey ręki.
(*zażywa tabakę*)

STAROSTA. (*na stronie*)

Rozmawiać z tym nudziarzem, *vraiment* co za męki!
(*głośno*) No, dayże się uprosić, pewność niezmyślona,
Wszak zięć móy w swym maiątku ma pół miliona.

CHAPTOSZ.

To prawda, lecz gdy pańskiey córki nie zaślubi,
Cóż wtedy, ten dług nowy do szczętu mnie zgubi.

STAROSTA.

Ożeni się, wszak kłamać nie miałbym przyczyny,
Jakem Starosta, dzisia będą zaręczyny.
Słuchay, za sto dukatów, dwieście przy terminie;
Boisz się? U mnie ani szeląg ci nie zginie.
Oto wexel, podpisuy i daway dukaty.
Ty wiesz, ia znowu będę ogromnie bogaty,
Do różnych interesów używać cię mogę,
Do wielu ci Magnatów utoruię drogę;
Nigdy się móy Chaptosiu z sobą nie rozdzielem,
Będziesz plenipotentem, nie! mym przyiacielem.
(*ściska go*)
Drugi ia w dobrach moich możesz rządzić śmiało,
Odprawiać kogo ci się będzie podobało,
Żąć, młócić, kosić, ścinać, zbierać i odnawiać,
Budować i naprawiać, i walić i stawiać.

CHAPTOSZ. (*zażywa tabakę*)
Cóż robić, ah! dalibóg iestem rosczulony,
Możnaż odmówić oycu Bogackiego żony?
Człowiek czułe ma serce i ma boiaźń nieba;
Niewymownie mnie wzrusza bliźniego potrzeba:
Mości Starosto! pańskie wypełnię żądanie:
Wspieraymy się iak ludzie i iak chrześcianie.
(*ociera łzy.*)
Dam sto dukatów. (*n. s.*) Samych kulfonów odliczę,
Czekay Mości Starosto, dobrze cię oćwiczę.
(*głośno*) Przyniosę ie natychmiast, ale proszę o to,
Ażeby, gdy dam złotem, oddano mi złoto.
Skrypt napiszę i punkta podług moiéy woli,
Sądzę, że Pan Starosta na wszystko zezwoli,
Ale przy odbieraniu pomny na umowę,
Przyymę tylko holendry ważne, obrączkowe.
(*Odchodzi i wraca się*)
Na duży kamień, albo nic z naszéy ugody.
(*Odchodzi.*)

SCENA VII.

STAROSTA. (*sam*)

Jakież trzeba z tym głupcem czynić korowody!
Ciesz się zacny lichwiarzu, że będą ważnemi,
Day tylko, raz ostatni obaczysz się z niemi;
O! nic nie szkodzi, choćby taki oszust stracił.
(*przechadza się dumnie po pokoiu*)
Od czegoż iestem panem, pan! żeby nie płacił.
(*Zasłona spada.*)

AKT DRUGI.

SCENA I.

JEAN. (*sam*)

Otoż stoię i stoię, i co chwila prawie
Głupca iakiegoś za drzwi wypraszam łaskawie.
Przeklęci wierzyciele! O wytarte czoła!
I wziął lichwę i ieszcze o pieniądze woła.
A u nas (w całem mieście każdy nam to przyzna),
Przy tonie eleganckim naywiększa golizna.
(*siada przy stoliku i przerzuca Gazety*)
Pustki, nic nam nie piszą, niechby choć kłamali.
(*czyta:*) »Powstańcy w Ameryce zbili...« (*rzuca Gazetę*) i tam daley.
Co tu Amerykanie obchodzić nas mogą!
Oy! takato Gazeta byłaby mi drogą,
Coby podała środek dostania pieniędzy.
Dawniey choć mniey pisano, mniey bywało nędzy.
Bogdayto dawne czasy, i tu lepiey było;
O tych przyiemnych czasach wspomnieć sobie miło.
Droga była pszenica i były dukaty:
I sługa ma się lepiey, kiedy Pan bogaty.
Chociaż modne chapanki przyiąłem systema,
Bóg widzi, cóż wziąść można tam, gdzie nic iuż niema.
(*Bierze książkę ze stolika, siada i czyta.*)

SCENA II.

JEAN, MACIEK.

MACIEK.

Szczęść Boże! Czy tu dobrze zaszedłem, mój Panie?

JEAN.

Czego tu chcesz? Zaczekay! Jakie twe żądanie?
Od kogo? Po co?

MACIEK.

Czy tu mieszka Pan Starosta?
Przebaczcie mi mój Panie, że tak wlazłem z prosta.
Pan mnie tu mój przysyła.

JEAN.

Kto twój Pan?

MACIEK.

Pan mówię,
Pan, u którego służę.

JEAN.

Ależ iak się zowie?

MACIEK.

Jak się nazywa nie wiem, lecz nasza wieś cała
Od dawna go paniczem zawsze nazywała.

JEAN.

Pan Bogacki z Podola?

MACIEK.

Tak, tak! ten mym Panem.

JEAN.

(*n. s.*) Ah! nigdym ieszcze z takim nie gadał bałwanem.

MACIEK. (*stosuiąc do niego*)

Pan mój do Wielmożnego Pana mnie przysyła,

Pyta: czy tu obecność iego będzie miła
I kiedy pańskim córkom ma się prezentować?

JEAN.

Co? Mówisz to do prawdy, czy raczysz żartować?
Jestem kamerdynerem, lecz nie samym panem.

MACIEK.

Co ia słyszę! to WPan równy ze mną stanem?
A iednak suknia iego tak galonowana.

JEAN.

Póydę i Panu memu przedstawię WPana.
Zaczekay przyiacielu, wrócę niezadługo. (*odchodzi*)

MACIEK.

Zaledwo poiąć mogę, żem mówił ze sługą!

SCENA III.

MACIEK. (*sam*)

Przyiacielu! patrzayno! powoli, powoli!
Nie, nie ziedliśmy z sobą ieszcze beczki soli.
(*obziéra się naokoło*)
Jak tu ładnie, iak wszystko piękną ma tu postać,
Tubyto było dobrze iakim sługą zostać!
(*przegląda się w źwierciedle*)
Przeglądałbym się przez dzień cały w tém tu oknie.
(*ogląda powałę*)
Jakie piękne pokoie, tu człowiek nie zmoknie,
A u nas na folwarku za kołnierz się leie.
(*znowu zagląda do źwierciadła*)
Patrzcie, gdy ia się śmieię, to i ón się śmieie.
He, he, he! przecież iestem przystoynym chłopakiem.
Pewnie godzienem dziewki nie w ręku z prztakiem,

Lecz przynaymniey (*myśli*) ze szczotką do mycia podłogi.
Niechno podkręcę wąsy i przypnę ostrogi.
Wy, którzy tylko na wsi do śmierci iesteście,
Obaczycie, co znaczy, być w stołecznem mieście.
(*czyni różne śmieszne jesta.*)

SCENA IV.

JEAN, MACIEK.

JEAN.

Pan zatrudniony, czekay trochę przyiacielu. (*odchod.*)

MACIEK.

Dobrze, tymczasem rzeczom przypatrzę się wielu.
Będę miał co Małgosi moiey opowiadać,
Tożto ia będę kłamał, tożto będę gadać.
Z wielkiego podziwienia dusza z niey wyskoczy:
O! tak rozdziawi gębę i wytrzyszczy oczy. (*czyni to*)

SCENA V.

LUDMIŁA, EUFROZYNA, MACIEK.

LUDMIŁA.

Służący Bogackiego?

EUFROZYNA.

Jak się masz móy bracie?

MACIEK.

Móy Boże! Co ia słyszę! To mnie Panny znacie?
A iam pierwszy raz tutay, przebóg! to cud prawie!

EUFROZYNA.

Więc pierwszy raz z twym Panem iesteś tu w Warszawie?

MACIEK.

Tak iest i właśnie cośmy dopiero przybyli.

LUDMIŁA.

Powiedz, czy prawda, co o Panu twym mówili,
Że się żenić przyiechał?

MACIEK.

Prawdę powiedziano.
Dziś, gdyśmy popasali, mówił do mnie rano:
»Maćku! iadę się żenić.« — »Dobrze, żeń się Panie.«
Rzekłem i wypaliłem mu powinszowanie,
Które ieszcze umiałem od nieboszczki matki.
Panie świeć nad iey duszą!

EUFROZYNA.

Czy wielkie dostatki
Ma Pan twóy?

MACIEK.

O panienko, wielkie chwała Bogu;
Zawsze w spichlerzach pełno, pełno w każdym brogu.
Ale bo teżto piękna kraina Podole:
Jakie tam tłuste pasze, iakie buyne role;
Mamy dosyć kur, kaczek, gęsi i cielątek,
A iakie śliczne byki, iaki z karczem wziątek!
A iaka gorzałeczka, aż napić się miło,
Nowe życie nadaie, nową krzepi siłą.

LUDMIŁA.

Nie o to się pytamy, ale o pieniądze.

MACIEK.

Mamy i grosza dosyć, i ieśli nie błądzę
Widziałem z dziesięć worów.

LUDMIŁA.

Z czémże?

MACIEK.

Z groszakami.
O! grosze ieszcze licznie krążą między nami!

EUFROZYNA.

Pan twóy dobryż dla ciebie?

MACIEK.

Przecudne panisko!
Chcąc poznać dobroć iego, trzeba go znać blisko.
Wykapałyto obráz nieboszczyka Pana:
Rzadka poczciwość, dusza nieoszacowana!
On nikogo nie złaie, nikogo nie zbiie,
Ot tak wprawdzie, iak gdyby nie było go żyie.
Pamiętam go dziécięciem, przy mnie wzrósł tak ładnie
I co tylko pomyśli, ia iuż wiém dokładnie.
Nigdy mnie ieszcze przykrym nie zhańbił wyrazem:
Razem wzrośli, do śmierci żyć będziemy razem.

EUFROZYNA.

(*idżie do stolika, wyymuie drobne i daie mu ie*)
Masz na piwo i do nas proś twoiego pana,
Mówiąc, że go u siebie czekamy od rana.

LUDMIŁA. (*czyni toż samo*)
Napiy się przyiacielu i za moie zdrowie.

MACIEK. (*kłania się po wieysku, ręką do kolan*)
Idę i dobroć waszę przed Panem wysłowię!

(*Odchodzi.*)

SCENA VI.

EUFROZYNA, LUDMIŁA.

LUDMIŁA.

Jeśli Pan głupiec taki, nie wielkie nadzieie.

EUFROZYNA.

Gdy mnie wybierze, póydę, niech się co chce, dzieie.
Przecieżto być mężatką przyiemność nie lada,
Każdy mężatkę ceni, każdy hołd iéy składa,
Każdy z nią się zabawi i umizgnie śmiele,
A szczérze mówiąc, panny płacą dziś nie wiele.

SCENA VII.

JEAN, DAWNIEYSZE.

JEAN.

Pani Poczciwska przyszła po procent do Pana.

LUDMIŁA.

Powiédz iéy, nie powinna przychodzić tak z rana.

JEAN.

Powiada, że iuż trzecia.

EUFROZYNA.

No, i cóż to znaczy?
Papa iest zatrudniony, niech zaczekać raczy.
Albo niech przyydzie iutro, dziś nic nie dostanie.
Może iéy zaraz płacić? zabawne żądanie!

LUDMIŁA.

Słusznie, za karty pierwéy zapłacić potrzeba.

JEAN.

Powiedziała, że niéma za co kupić chleba.

LUDMIŁA.

Ubolewamy, ale cóż nam do iey nędzy,
Dla niey honor, że papa wziął od niey pieniędzy
I że mimo dziwnego układu i stroiu
Pozwalamy iey bywać w naszym przedpokoiu.
(*Jean odchodzi, Ludmiła dzwoni, Marysia wchodzi*)

SCENA VIII.

DAWNIEYSZE, MARYSIA.

LUDMIŁA.

Posłać mi do modniarki po kapelusz nowy.

EUFROZYNA.

Przypomnieć fryzierowi o ubranie głowy.

LUDMIŁA.

Wstąpić do sklepu, kupić perfum i pomady.

EUFROZYNA.

Kazać przynieść z cukierni lodów i orszady.

LUDMIŁA.

Kupić trzy łokcie wstążek, a dziewięć muszlinu.

EUFROZYNA.

Sześć par iedwabnych loków i paczkę karminu.

MARYSIA.

Dadzą Panie pieniędzy?

LUDMIŁA.

(*wyymuie ze stolika kilka kwitków i daie iey parę*)
Nie, weźmiesz na kwitek.

MARYSIA. (*odchodząc, na stronie:*)

I nie maią pieniędzy, i tak wielki zbytek.

SCENA IX.

POZOSTAŁE i AMALIA (z książką w ręku).

LUDMIŁA.

Cóżto czytasz Amalciu? (*zagląda w książkę*) *Mon dieu!* co widzę!
Fi donc ma seour, ia sama za ciebie się wstydzę,
Czytać polską ramotę, rzecz nie do poięcia.
Jakiż tytuł?

AMALIA.

Satyry Warmińskiego Xięcia.
Jestto przyiemna książka, i uczy i bawi.

EUFROZYNA.

Dama dobrego tonu tak czasu nie trawi.
Nie szkodzi, można kiedyś czytać dla zabawy,
Ale dzieła francuskie, dzieła wielkiey sławy:
Romanse Pani Genlis, wiersze Krebilona.
W Francuzach myśli śmiałe, moc nieodgadniona.
Polak myśleć nie umie, ten naród zdziczały
Potrafisz do Parnasu zwrócić lot zuchwały
I iak talent Paryża rosczulić i wzruszyć?
W teatrze, to cię będzie gadaniną głuszyć,
Jak szalony wygłasza niezgrabne wierszęta
I zawsze o tém tylko, by nudził pamięta.

AMALIA.

Nie znam się tak dalece, ale mówię śmiało,
Że mnie nie iedno polskie dzieło zachwycało.
I u nas jeniuszów nie skąpe są dary:
Kogoż nie wzruszy tkliwość Autora Barbary, *)

---

*) Aloizy Feliński.

Któż ze krwią zimną w sercu i z okiem nie łzawém
Przeydzie w Dziadach nieszczęścia kochanka z Gustawem? *)

LUDMIŁA.

Że naśladował Niemców, w tém zaleta cała.

AMALIA.

Nie wiém, czy naśladował, lecz wiém, żem płakała.

LUDMIŁA.

Ciebie lada lichemi wzruszyć można słowy;
Pamiętam, iak cię uiął los téy nudnéy wdowy,
Co o mężu i dzieciach tak wiele prawiła,
A gdy nam Baron czytał, łzyś nie uroniła,
Chociaż, lecz ty nie możesz tego czuć, niestety!
Czytał nam po francusku własne tryolety.

EUFROZYNA.

Koniecznie po francusku czytać ci wypada,
Wprawa iedynie z czasem tę biegłość ci nada,
Jaką my w tym ięzyku od dziecińitwa mamy,
Wszystkie niansy iego i piękności znamy.

AMALIA.

Pięknie iest w obcéy mowie tłómaczyć się iasno,
Ale piérwsza powinność: umieć mowę własną.

SCENA X.

DAWNIEYSZE, JEAN.

JEAN.

Aktorka przyiechała z biletem do loży,
Oto afisz. (*daie afisz*)

*) Obacz Tom II. poezyy Mickiewicza.

EUFROZYNA.

Niech czeka. (*Jean odchodzi*) Niech się upokorzy,
Bo te Jeymości zbytnie nosy zadzieraią.

AMALIA.

Nadto iesteś surową.

LUDMIŁA.

Cóż w teatrze daią?

AMALIA.

Ludgardę.

LUDMIŁA.

Nudna sztuka, niegodna krytyki,
Oklepane morały i sarmatyzm dziki.

AMALIA.

Że nie znam dzieła tego, iaka wielka szkoda!
Lecz i tu pewnie szczytnym iest Autor Emroda,
Póydźmy siostry.

LUDMIŁA.

Nie, dzisia wielka promenada,
Którey opuścić Damom z tonem nie wypada.
Tamto cały świat wielki okaże się w gali,
Tam młodzież modna wdziękom ofiary zapali,
Uyrzémy nowe suknie, kapelusze, chustki.

AMALIA (*z czułością*)

A na Ludgardzie?

LUDMIŁA.

Będą iak zwyczaynie pustki.

JEAN. (*wchodząc*)

I iakże loża Panie?

EUFROZYNA.

Nie będziem w teatrze.

AMALIA.

Przeprosić.

EUFROZYNA.

Wierz mi siostro, gdy na ciebie patrzę,
Ubolewam, iż tak się dla nierównych zniżasz.

LUDMIŁA.

Słusznie, gdy im dodaiesz, to sobie ubliżasz.
Czyż nie dosyć? Większegoż potrzeba dowodu
Że oyciec téy aktorki był mieyskiego rodu?
Nie czyń rodzinie naszéy ohydy i sromu.

JEAN. (*wchodzi*)

Pani Szambelanowa. (*oddaie bilet*)

EUFROZYNA.

Nie iesteśmy w domu.

(*Jean odchodzi*)

Nudna kobiéta, któżby wytrzymał z nią chwilę,
Nie umié się zabawić ni modnie, ni mile,
Zawsze tylko w sarmackiém uparta iest zdaniu,
Mówi ciągle o dzieci swoich wychowaniu,
Na żadnéy grze się nie zna, a tém mniéy na stroiu.

(*do Amalii*)

Trzebaby ciebie siostro zamknąć z nią w pokoiu,
A dam w zakład obadwa moie fermoary,
Popłakałybyście się nad losem Barbary.
Cha, cha, cha, cha!

JEAN. (*melduiąc*)

Pan Baron.

LUDMIŁA.

Prosimy, prosimy.
O! przynosi zapewne iakie nowe rymy,

Może iaki Kalembourg w ięzyku Rasyna,
Dowcipny do zabawy i łepski chłopczyna.

AMALIA.

Odeydę, ón mnie nudzi swoiém paplotaniem,

EUFROZYNA.

Wstydziłabyś nas przy nim twoiém prostém zdaniem.

LUDMIŁA.

Pewnie, twóy mały rozum poiąć go nie może.
(*Amalia odchodzi, Ludmiła i Eufrozyna siadaią.*)

SCENA XI.

BARON, DAWNIEYSZE.

BARON.

(*w okularach i z lorynetką na piersiach, ubrany przesadnie*)
Parblais widzę przed sobą iaśnieiące zorze,
Szczęśliwym, że wam *bon jour* mogę mówić Damy.

LUDMIŁA.

Dziękuię za komplement.

EUFROZYNA.

Z kądże przybywamy?

BARON.

Dziś wstałem bardzo rano, o dwunastey prawie
I na samych wizytach czas poranny trawię.
Byłem u Kasztelana, a potém w ogrodzie
Jadłem z Xięciem śniadanie po salcerskiey wodzie,
Lecz na piękności patrzę tutay po raz pierwszy.

LUDMIŁA.

Żarty.

BARON.

Jeżeli kiedy, tom dzisia nayszczérszy.
(*idzie do zwierciadła i poprawia sobie włosy*)
Apropos iak się *journal* dzisieyszy podoba?

EUFROZYNA.

Istotnie piękna sukuia i piękna osoba.

BARON.

W Paryżu noszą fraki krótkie, bokiem ścięte,
Surduty fałdowane, a westki wygięte.
Damy zaś, które zawsze zdobią wielkie dusze,
A la Boliwar zwane noszą kapelusze.
Wszystko co tylko piękne, za granicą kwitnie.
(*Baron przechadzaiąc się po pokoiu nuci sobie iakiś voudevill*)
Wiecie Panie, iak Xiążę spisał się zaszczytnie?
Porzuca żonę swoię i na woiaż iedzie.

LUDMIŁA.

Ale bo też i ona piękne życie wiedzie.

BARON.

Istotnie bardzo piękne, płaci iego długi.
(*rzuca się z przesadą na krzesło*)
Cha, cha, cha! w cnotach swoich chce szukać zasługi.

EUFROZYNA.

Że tak długo z nią mieszkał, wszystkich nas zdumiéwa.

BARON.

Czy uwierzycie Damy, że l'hombra nie grywa!
Raz wpadam w wieczór do niéy, słyszanasz zakała!
Ja wstałem właśnie z łóżka, a ona iuż spała.
Sądziłem, że po balu spać się położyła,
Pytam kamerdynera, nie, nigdzie nie była.

LUDMIŁA.

Małomówiąca.

BARON.

Nudna.

EUFROZYNA.

Bigotka niezmierna.

BARON.

Zwiedza szpitale.

LUDMIŁA.

Istna Panna miłosierna.

BARON.

Charmant, ten piękny dowcip zanotować muszę.
Nawet nim Stolnikowę do śmiechu poruszę,
Która skromnie po śmierci męża nieboszczyka
Jak od naywiększéy zbrodni, od śmiechu unika.
Dotąd ona obrazem chodzącéy boleści,
Chociaż, iak mąż iéy umarł, będzie lat trzydzieści.

LUDMIŁA.

Teraz koley, ażebym ia zanotowała.

BARON.

Apropos, nowa tutay trupa przyiechała
Z małpami i z niedźwiedziem, mogę ręczyć Panie,
Że tam każdego czasu piękny świat zastanie,
W tak pięknych widowiskach wielka iest ponęta.

EUFROZYNA.

Musiémy póyść, wszak trzeba wspomagać talenta.

LUDMIŁA.

Lubię małpy, zawsze mnie przyiemnie bawiły.

BARON.

Dwie szczególnie dowcipne, z Paryża przybyły.

Do którychże kąpieli wyieżdżacie Panie?
W Baaden można się bawić bardzo pożądanie.
Pamiętam, iak przeszłego bawiłem się roku;
Codzień pięknego ranku, śród karet natłoku
W angielskim koczu moim ieździłem swobodnie,
Czterech moich lokai ustroionych modnie
Wielką mi w całém Baaden renomę robiło.
Ma foi! mówię Damom, że się bosko żyło.
Niekiedy na ogromne mniey zważaiąc straty,
Grałem z mymi ziomkami w bilard o dukaty
I gdym nie raz z kieszeni wyciągał ostatki,
W koło chwalono hoyność i polskie dostatki.
Gdziem stąpił, unižone czyniono ukłony,
Zewsząd Jaśnie Wielmożny, Jaśnie Oświécony
I tym podobne słowa mile w uszach brzmiały,
Narodowi naszemu wiele czyniąc chwały.
To słodziło wydatki, dodawało dumy:
Miło zadziwiać blaskiem patrzaiących tłumy. *(zrywa się)*
Apropos żegnam Damy, przypomniałem sobie,
Że w téy chwili zwyczaynie kilka wizyt robię.
Prawdziwie, być z Paniami, to roskosz iedyna,
Że się nawet o czasie chętnie zapomina.

EUFROZYNA.

Komplement.

BARON.

Prawda szczéra, prawda niezmyślona,
Parol d'honeur.

EUFROZYNA.

Prosimy na obiad Barona.
O piątéy.

BARON.

Nie omieszkam stanąć na usługi.

(Kłania się wykręciwszy się dwa razy na iednéy nodze, oblewa się z flakonika wodą pachnącą, poprawia sobie przy żwierciedle włosy i wybiega w trelach.

SCENA XII.

POZOSTAŁE.

EUFROZYNA.

No i iestże w Warszawie taki chłopiec drugi?

LUDMIŁA.

Kogożby nie zachwycił grzecznością tak miłą!

EUFROZYNA.

Ah! iak mu w tym paryzkim stroiu pięknie było!

LUDMIŁA.

Szarmancki, pełen wdzięków, rzadkiéy przyiemności.

EUFROZYNA.

Wiédz, że go Kasztelanka bardzo nam zazdrości.

LUDMIŁA.

Wierzę, choć nikt iéy nie chce, wszystkich uiąć rada.

EUFROZYNA.

W kokietowaniu całe szczęście swe zakłada.

LUDMIŁA.

Sądzi, że piérwsza piękność, lecz kogoż oszuka.

EUFROZYNA.

Pomalować się różem, w tém cała iéy sztuka.

LUDMIŁA.

Wczora na balu w guście nie była nikomu.

EUFROZYNA.

Bo przypadkiem rumieniec zapomniała w domu.

(*śmieią się obiedwie*)

LUDMIŁA.

Wiém ia, że na nią Baron i patrzéć nie może.

EUFROZYNA.

Że ią wkrótce porzuci, z każdym się założę.

LUDMIŁA.

Mnie przyrzekł miłość swoię i kto wié, co będzie.

EUFROZYNA.

Powiadam ci, że iesteś o Barona w błędzie.
Moim iest pewnie, ieśli Bogacki mnie minie.

LUDMIŁA. (*urażona*)

Mylisz się, ia ci mówię, że ón za mną ginie.

EUFROZYNA. (*na st.*)

Ona wierzy, choć próżne łudzą ią nadzieie.

LUDMIŁA. (*na st.*)

On o mnie szczérze myśli, z niey się tylko śmieie.

SCENA XIII.

DAWNIEYSZE, STAROSTA, CHAPTOSZ.

(*Starosta wyprowadza Chaptosza z pokoiu pobocznego i żegna się z nim na środku Sceny. Chaptosz kłania się Damom i Staroście, nakoniec chce odchodzić, lecz Starosta zatrzymuie go przy drzwiach.*)

STAROSTA.

Polecam się twéy łasce Chaptosiu kochany,
Odwiedzay mnie, tyś zawsze gość tu pożądany.

Nie zapominay o mnie, wybrany śród wielu,
Uważay dóm moy, iak swóy własny, przyiacielu.
(*Chaptosz się kłania*)
Jeżeli zechcesz wstępu do którego z Panów,
Mnie powiedz, do naypierwszych wprowadzę cię Stanów,
I tam, gdzie weyść nie wolno zawsze lada komu,
Ty będziesz miał wstęp wolny do każdego domu.
(*Chaptosz się kłania*)
Może masz iaki proces, znam się w Trybunale,
Wszystkim poczciwość twoię i słuszność zachwalę.
(*Chaptosz się kłania*)
Tak iest, chciey mi zaufać bez żadney obawy,
Za mém wsparciem nie przegrasz i naygorszey sprawy.
(*Chaptosz się kłania*)
Może pragniesz urzędu, znam dobrze Ministra,
Powiém mu, że masz zdatność, że twa głowa bystra.
Rozkaż tylko, a będę na usługi twoie.

CHAPTOSZ. (*kłania się pokilkakrotnie*)

Przyymiy łaskawy Panie z serca wdzięczność moię.

STAROSTA.

Tak iest, wszystko, co zechcesz, bez wymówki zrobię,
Bo chcę z długu wdzięczności wywiązać się tobie.
A teraz byway mi zdrów, co chcesz, żąday śmiało.
(*Chaptosz częstuie Starostę tabaką. Starosta zażywaiąc tabakę:*)
Wszystko uczynię. (*Chaptosz odchodzi*)
(*n. s.*) Bogday licho cię porwało!

SCENA XIV.

POZOSTALI.

LUDMIŁA.

Cher Papa tak się przed tym uniża faktorem,
Który i oszukaństwa i oszustwa wzorem.

STAROSTA.

Pieniędzy mi pożyczył, uprzeymym być muszę,
Wierzay, gdy potrzebuię, tobym przyrzekł duszę.
To nasz Dobrodziey, ón mi wygodził w potrzebie,
W takim razie mniey zważam na samego siebie.
Tę grzeczność mi przebaczą moie antenaty
I choć nie iest ślachcicem, ale iest bogaty,
To dosyć, złoto czasem przewodzi nad rodem,
A dukat iest naylepszym ślachectwa wywodem.

SCENA XV.

DAWNIEYSI, JEAN, potém BOGACKI.

JEAN. (*otwiera całe podwoie*)
Hrabia Bogacki.

STAROSTA.

Powiedz, że go wszyscy proszą.
(*Bogacki wchodzi*)
Witam cię Mości Hrabio, witam cię z roskoszą.
Pozwól, niech cię uściskam i bądź przekonany,
Że w mym domu nayszczérzey iesteś powitany.
Hrabio! mam honor córki moie ci przedstawić.
Siadaymyż. Proszę. (*siadaią, do córek:*) A wy chcieycie gościa bawić.

(*Bogacki nie modnie, ale przyzwoicie ubrany, młody i dosyć miły.*)

EUFROZYNA.

Jak się Panu Hrabiemu podoba stolica?

BOGACKI.

Przyznaię, więcey nudzi, niżeli zachwyca.
Komuż się w miastach wielkich długo podobało,
Gdzie widać dużo ludzi, a szczérości mało.

LUDMIŁA.

Pan Hrabia satyryczny. (*n. s.*) Śmiészna kreatura.

STAROSTA.

Tak iest, wiémy, nie wszystkich iednaka natura.
Jedni miasta przenoszą, drudzy chwalą wioski.
Ja zaś, którego nudzą gospodarstwa troski,
Wyieżdżam na wieś, ale raz w roku, na łowy.

BOGACKI.

A któż prowadzi na wsi porządek gruntowy?

STAROSTA.

Ekonom, iam do roli wcale nie stworzony,
Samym widokiem wieyskie nudzą mnie zagony.
Brzydzę się wieyskiém życiem i wieśniaków pracą.

BOGACKI.

A gdyby nie wieśniaki, byłożby żyć za co?

EUFROZYNA. (*na stronie*)

Nieznośny grubianin.

STAROSTA.

Wszystko prawda, ale
Człowiek się przyzwyczaił tu żyć okazale,
Na wsi się nie poznaią na tém, co tu cenią.
Ja gdy czasami na wieś wyiadę iesienią,

Nudzą mnie o sekwestrach, pszenicy i życie
Ale nikt się na moiéy nie pozna karécie.
Raz nawet, ta zakała nie iest odpuszczona!
Nie mógłem i dwóch zebrać zagrać faraona.

LUDMIŁA.

Ta na wsi niewiadomość dotąd mnie zdumiéwa.

BOGACKI.

Grywamy maryasza, bo ten nas nie zgrywa.
Ja wątpię, żeby Panie gra mocno bawiła.

STAROSTA.

I owszém, gra myśląca iest zabawa miła,
Zawsze piękną rozrywkę czyni obok zysku:
Córki moie celuią i w l'hombrze i w wisku.
Graiąc z niémi gry dobréy można widziéć wzory,
A iak szczęśliwe, zawsze miewaią honory.

BOGACKI.

W mych oczach Panny więcey nabieraią wdzięku
W domu, przy gospodarstwie, niż z kartami w ręku.

EUFROZYNA. (*urażona*)

Grać w karty, to należy do dobrego tonu,
Acan byś może córkę wysłał do zagonu?

BOGACKI.

O nie sądź Pani, tego i na wsi nie czynią,
Dosyć, gdy córka domu będąc gospodynią,
We wszystko wglądnie, wszystko urządzi przy sobie
I o pożytkach domu myśli w każdéy dobie.

STAROSTA.

Nie sprzeczaycie się dzieci, Pan Hrabia żartuie.

BOGACKI.

O przeciwnie, ia mówię, iak myślę i czuię.

Lecz daymy temu pokóy, czém Damy nie bawię.
(*po chwili*)
Ale gdy czego z duszy zazdroszczę Warszawie,
To teatru, o którym tak wiele czytałem.
O ia poważam teatr z naywiększym zapałem,
I czy nam czyny smutne, czy stawia wesołe,
Zawsze w nim widzę wielką moralności szkołę.
Damy często zapewne teatr odwiédzaią?

LUDMIŁA.

Bywamy, ale kiedy po francusku graią.

BOGACKI.

W Warszawie po francusku! Co słyszę! Móy Boże!

STAROSTA.

Na scenie polskiéy człowiek wytrzymać nie może.
Gra nędzna, sztuki nudne, bez naymnieyszéy ceny,
Tylko ięzyk francuski godzien Melpomeny.

BOGACKI.

I Polak może myśléć i pisać wyniośle,
Ale gdy się pokażą małe latorośle,
Pielęgnuymy ie z dumą narodowéy chwały,
A nie wątpić, że zrodzą owoc okazały.
Już nasza scena nie iest iak przed laty dzika,
Zdobią ią jeniusze Fredra i Wężyka.
Piérwszy do każdéy sztuki ma dowcip w zapasie,
Drugi wspaniały koturn z wdziękiem przywdział na się.
Prawda, że czasem trzeba i błędom darować.

STAROSTA.

Ja nie znam polskiéy Sceny.

BOGACKI.

Możnaż krytykować?

EUFROZYNA. (*na stronie*)
Co za nudziarz nieznośny!
STAROSTA. (*na stronie*)
Obrzydły gaduła!
Nie zniósłbym tego, gdyby nie iego szkatuła,
Ale trzeba mi zięcia.
(*kaszląc zatyka sobie usta chustką*)
LUDMIŁA. (*na stronie*)
Taki mąż, niestety!
BOGACKI.
Dwóch godnych córek iego poznałem zalety,
Gdzież iest trzecia, Starosto? Wszak o trzech słyszałem.
STAROSTA.
Daruy Hrabio, że dotąd iéy nie przedstawiałem,
Wkrótce WPan Dobrodziéy uyrzysz ią przy stole.
Jeszcze dzika, choć dosyć nad nią się mozolę.
Wychowana przy babce, na wsi, pokryiomu,
Nie wié, iak postępować w eleganckim domu,
Ale wkrótce wzór biorąc z siostr swych zachowania,
Ręczę, że się wykształci w sztuce obcowania;
Chciałbym, ażeby w świecie postępy czyniła.
BOGACKI.
Dobrze, lecz oby tylko na tém nie straciła.
EUFROZYNA. (*na stronie*)
Impertynent.
LUDMIŁA. (*na stronie*)
To brutal.
STAROSTA. (*na stronie*)
Szaleniec bez głowy!
Ah! szkoda, że bogaty!

JEAN. (*wchodzi*)

Obiad iuż gotowy.

EUFROZYNA.

Jeszcze kogoś brakuie do naszego grona.
Pan Baron.

JEAN.

Właśniem widział karetę Barona.

(*Odchodzi.*)

STAROSTA (*wstaie, a za nim wszyscy*).

A więc służę ci Hrabio! proszę, proszę z sobą,
Uczty patryarchalnéy będziesz dziś ozdobą.
Potém bibliotekę pokażę ci moię,
Stare monety, ieszcze po mych przodkach zbroie,
Gabinet naturalny, zbiór kruszców, owadów.
Ręczę, że tak zupełnych nie widziałeś składów.
Na czele rzeczy, które kosztowne i śliczne
Uyrzysz mych przodków drzewo jenealogiczne.

(*Starosta kłania się Bogackiemu daiąc znak do wychodu, córki sądziły, że poda im rękę, ale gdy tego nie uczynił, idą naprzód, za niémi Bogacki, a na końcu Starosta.*)

(*Zasłona spada.*)

AKT TRZECI.

SCENA I.

MARYSIA (*siedzi przy stoliku i pisze*).

Dwa razy dwa iest cztéry, (*cicho rachuie*) dobrze,
wyśmienicie,
Wszystko zrachować trzeba słusznie, przyzwoicie,
Ciekawa iestem, kto mi fałsz tu zadać zdoła.
(*rachuie daléy*)
Kto kościołowi służy, ten żyie z kościoła;
Wszakże o sobie także pamiętać potrzeba,
Nie żal pokręcić czasem dla kawałka chleba:
Drzyymy dopóty łyko, dopóki się daie.

SCENA II.

MARYSIA i JEAN.

JEAN.

(*Zagląda przez drzwi, postrzega Marysię, skrada się do niéy na palcach i z tyłu całuie ią w szyię.*
Nad rachunkami mego buziaczka zastaię?
Jak się masz aniołeczku, moia duszko droga!

MARYSIA.

Ah! iakżeś mnie przestraszył!

JEAN.

Nie bóy się, dla Boga!

(*ściska ią*)

No, iakżetam rachuiesz, dobrześ popisała?

MARYSIA.

Jak można było, patrzay, oto summa cała.

JEAN. (*zagląda w rachunki*)

Tak, tak, niezgorzéy, ale można dodać ieszcze.

(*czyta:*)

»Dwa bażanty dukata« pozwól, dwa umieszczę,
Wszakżeto nie iest drogo i za bezcen prawie,
Bażanty zawsze drogie bywały w Warszawie. —
»Za sześć kuropatw złotych czterdzieści i cztéry.«
Co? albożto ty służysz u iakiego sknéry?
Czemu żałować panów, oni więcéy maią
I niechay dobrze płacą, gdy obiady daią.
Można sześćdziesiąt cztéry napisać bezpiecznie.
Tak iest, ieśli cię kocham, a kocham statecznie,
Czyń wszystko co ci mówię, nigdy moia rada
Mniéy odemnie przebiegłym na złe nie wypada.

(*dopisuie i czyta daléy:*)

»Ośm butelek szampana, summa ośm dukatów.«
Jakem twoim kochankiem mało, do stu katów!
Przynaymniéy dziesięć połóż, pozwalasz? więc piszę.
To nie iest wiele, cóżto? czyliż my urwisze?
My nie bierzemy zbytnie, tyle, co brać można.

MARYSIA.

Jednakże nie zawadzi przezorność ostrożna.

JEAN. (*obraca to w żart*)

Nie iestem ia przezorny, gdy się z tobą żenię.

MARYSIA.

Cóżto znaczy przezorny? proszę uniżenie.

JEAN.

Mąż, który żonę bierze z oczkami takiemi,
Czyliż może się mieścić między przezornemi?
Wielką mnie trwogą ślipki napełniaią twoie,
Mam trochę słabą głowę, ciężaru się boię.

MARYSIA.

I ty do mnie to mówisz, biedna ia dziewczyna!

JEAN. (*na stronie*)

Ja żartuię, a ona iuż płakać zaczyna.

(*głośno*)

No, nie płaczże buziaczku, wszakto tylko żarty.

MARYSIA.

Oni o nas źle sądzą, że sami lamparty,
(*w gniewie*) Opoie, nic dobrego, włóczęgi, urwisze.

JEAN.

Jak ty umiesz się gniewać! Cha, cha! co ia słyszę!
Dosyć iuż, nigdy więcey tego ci nie powiém.(*ściska ią*)
Ty iesteś moiém życiem, iesteś moiém zdrowiem,
Kocham cię, a więc zgoda móy ty pączku złoty.
(*podaie iéy rękę, którą ona przyymuie*)
Wiesz, że mi nie do twarzy nosić papiloty. (*śmieie się*)
Lecz żart na stronę, idę, Pan mnie może woła,
Żegnam więc moie bóstwo, moiego anioła,
Do zobaczenia moia rybko, byway zdrowa.
(*ściska ią wskazuiąc na rachunek*)
Lecz pamiętay, że do mnie należy połowa.
(*Odchodzi*)

SCENA III.

MARYSIA (*sama patrzy za nim*).

Przednie rachuie, głowa we wszystko wprawiona.
Mógłby zostać rachmistrzem.
(*czyniąc wchodzącemu Bogackiemu ukłon*)
Sługa uniżona.
(*odchodzi*)

SCENA IV.

BOGACKI. (*sam*)

Dobrze, żem się iuż wymknął z téy nudnéy zabawy,
O! iakże mi się przykrym zdaie ton Warszawy.
Żarty nie do zniesienia, a ta francuzczyzna,
Że nędznem małpowaniem, każdy mi to przyzna.
Pięknie iest, gdy kto obce ięzyki posiada,
Lecz niech do własney mowy słów obcych nie wkłada.
(*przechadza się zamyślony*)
Ah! szkoda, wielka szkoda, że ta dusza tkliwa,
Że ten anioł dobroci w tym domu przebywa,
Żałowałbym, gdyby się przy siostrach popsuła:
Ona mnie zrozumiała, ona mnie uczuła!

SCENA V.

BOGACKI, AMALIA.

BOGACKI.

Pani odeszłaś także towarzystwo sali?

AMALIA.

Wyszłam właśnie gdy siedli, żeby wiska grali.

BOGACKI.

Więc Pani gry nie lubisz?

AMALIA.

Nudzi mnie gra w karty.
Pytano się o Pana, Pan miałeś być czwarty.

BOGACKI.

Ja także gry nie lubię, chęć zysku pomnaża,
Karty źle się wydaią w rękach gospodarza.
Na wsi, gdzie mniéy są przykre nudnéy mody pęta,
Grywamy dla rozrywki, lecz tylko we święta.

AMALIA.

Szczérze zazdroszczę panu wieyskiego mieszkania.

BOGACKI.

Nie wiele podobnego znalazłbym tu zdania.

AMALIA.

Wychowałam się na wsi, wieś lubię i cenię.

BOGACKI.

Tam szczérość i prostota ma ieszcze znaczenie.
W mieście obłudą każdy splamiony zakątek.

AMALIA.

O! wieś mi przypomina zbyt wiele pamiątek.
Na wsi mi upływały piérwsze życia chwile,
Na wsi żyłam przy babce spokoynie i mile,

(*ociera łzy*)

Oyciec nawet tak drogiéy nie nagrodzi straty!

BOGACKI.

Oyciec podobnéy córki iakże iest bogaty!
Lecz daruy, ieśli może rozgniewam cię Pani
I hołd winny szacunku niesiony ci w dani
Przyymiy za prawdę, ale nie za pochlebstw słowa,
Nie iest spodlona fałszem wieśniaka wymowa,
Mówię co myślę, serce w ustach mych zawarte.

(*Bierze ią za rękę*)
Odzyskay na wsi chwile srogo ci wydarte,
Powróć, gdzie pewnie wszystkich czarowałaś sobą,
Powróć i stań się życia wieyskiego ozdobą.
Zważałem, iak tu mało cenić cię umieią,
Ah! ieśli mogę słodką karmić się nadzieią,
Spełni się cel podróży, chwila pożądana,
Pani powrócisz na wieś.

AMALIA.

Nie rozumiém Pana.

BOGACKI.

Pani rozumieć nie chcesz, lub pogardzasz chęcią;
We Lwowie, na kontraktach, przed miesięcy pięcią
Poznałem Stryia Pani, zacnego człowieka,
O synowicach swoich napomknął z daleka.
Mówiłem przed nim, iżby było mi honorem,
W domu tak godnym żony zaiąć się wyborem;
On sam we mnie nadzieię dobrych skutków wzniecił,
I oycu Pani listem naylepiéy zalecił.
Przyiechałem w tym celu i Panią uyrzałem,
Więc darny, ieśli może nadzieię mieć śmiałem.

(*Amalia spuszcza w dół oczy*)
Widzę, że Panią gniewa mowa moia taka,
Milcząc zapewne w duchu śmieiesz się z prostaka.

AMALIA. (*zmieszana*)

Proszę darować, ia się nie śmieię z nikogo.

BOGACKI.

A więc zamiary moie spełnione być mogą?

AMALIA.

Mam siostry, im to wprzódy za mąż iść potrzeba.

(*Amalia chce odeyść, ón ią za rękę zatrzymuie*)

BOGACKI.

Czuię, że nas dla siebie przeznaczyły nieba,
Zechciéy, a twoim będę, twoim nieodbicie;
Wszak my oboie wieyskie polubili życie,
Oboie się nudzimy zwyczaiami miasta,
Gdzie iednakie skłonności, iedno czucie wzrasta.
Wyrzekniy los móy Pani, nie bądź w myślach skrytą;
Piérwszy raz na kolana padam przed kobiétą
I ręczyć mogę, że to będzie raz ostatni.
(*Amalia ucieka, Bogacki patrzy za nią żałośnie wciąż klęcząc.*)
Ślicznie się wykierował, wpadłemże do matni.
O kobiéty! sądziłem, że was iuż poiąłem,
A ia dopiéro widzę lekcyą zacząłem.

SCENA VI.

BOGACKI, MACIEK.

MACIEK.

Co ia widzę, czy panicz klęczy za pokutę?

BOGACKI. (*wstaiąc pomieszany*)

O! nie uwierzysz, iak tu kobiéty popsute.

MACIEK.

Ey! tu wszyscy popsuci.

BOGACKI. (*przechadza się zamyslony*)

(*na str:*) Pewnie się urąga.

MACIEK.

Prawdziwie, całe miasto nie warto szeląga,
A choć się człowiekowi obmawiać nie godzi,
Mówię: tu diabła warci i starzy i młodzi.

Wyieżdżaymy paniczu, bogdayto wieś nasza!
Teraz samém wspomnieniem miasto mnie zastrasza,
Wiesz panicz, żem nic nie iadł.

BOGACKI.

Byłżeś u czeladzi?

MACIEK.

Byłem, lecz oni tylko sobie byli radzi.
Gdy przyszło do podziału, mnie nic nie wypadło,
Tylko com się obrócił, zmietli całe iadło,
Mnie został chrzan od mięsa i z kapłona kości.

BOGACKI.

Istotnie, przewybornie traktuią tu gości.
(*daie mu pieniędzy*)
Nie troszcz się dobry Maćku, oto masz na strawne.

MACIEK. (*kłania się po wieysku, ręką do kolan*)
He, he! dobrze powiada to przysłowie dawne:
Gdzieś się wylągł, tam zostań, po co tu iechałem.

BOGACKI.

Jato ia niepotrzebnie w podróż się wybrałem.
(*przechadza się w myślach*)
Niedługo tutay Maćku zabawimy oba.

MACIEK. (*skacząc do góry z radości*)
Ha! wiwat! poiedziemy! to mi się podoba!
Ale to się rozumie, że z Jéymością, Panie.

BOGACKI.

Kto wié.

MACIEK.

Niech panicz tylko panienkę dostanie,
Toto będzie wesoło na wsi i we dworze,
Jéymość pewnie mieć będzie pokoiówki hoże,

Pulchniutkie, ładne, dziarskie, przysadne i świéże,
Ey! to może i człowiek kiedy co obliże. (*kłania się*)
Nie gniewaycie się panicz za te myśli płoche,
Idę za pańskie zdrowie posilić się trochę. (*odchodzi.*)

SCENA VII.

BOGACKI. (*sam*)

Ją, albo żadnéy, to iuż raz postanowiłem,
Ona mnie piérwsza czuciem napoiła miłém,
Z nią tobym się ośmielił udać w podróż życia
I na morzu małżeństwa nie znałbym rozbicia.
Raz ieszcze wznowię przed nią o miłości sprawę,
Gdy mnie nie zechce, wiecznie pożegnam Warszawę.

SCENA VIII.

BOGACKI, BARON.

BARON. (*lorynetuiąc Bogackiego*)

Co widzę! Hrabia tutay! uciekł nam ze sali.
Wstałem, bo właśnie cośmy roberka przegrali,
Chcę się trochę ochłodzić i przeyść po pokoiu.
(*staie przy żwierciedle*)
I poprawić niektóre błędy w moim stroiu.
Ile karty mi szkodzą, sam to dobrze czuię,
Za nic wiązanie chustki, gdy często tasuię. (*ziéwa*)
Ma foi! wielkie nudy panuią w tym domu
I nie życzyłbym długo bawić w nim nikomu.
Słyszałem, że Pan Hrabia myśli się tu żenić?
Parol d'honeur! ia radzę ten zamiar odmienić.
To dóm nieznośny, starsze Panny kokietuią,

Ale nudne ich wdzięki zalet nie znayduią,
Fi donc! ktoby ie żechciał, ten byłby bez głowy.

BOGACKI.

Zastanawia mnie bardzo osnowa téy mowy,
Wszakże Pan przyiacielem domu się być zdaiesz.

BARON.

Że z nich tylko żartuię, sam Hrabio poznaiesz.
Daią nie złe obiadki, czemuż nie mam bywać?
Nie wartosz dla obiadu swych zasad ukrywać?
Lecz nie długo to potrwa, ieśli wnosić mogę,
Starosta do bankructwa już bliską ma drogę,
A wtedy wyśmiewaiąc szczęścia iego zmianę,
Pożegnam Starościanki i bywać przestanę.

BOGACKI.

Takżeto czynić zwykli mieyscy przyiaciele?

BARON.

Owszem, bywaiąc czynię im honoru wiele:
Jestem w stolicy wzięty, poważany wszędzie,
Śmiało mieszczę się w piérwszych elegantów rzędzie,
I choć żyiąc *du bon ton* człowiek znacznie trwoni,
Nie mam tak wiele długów, ile maią oni,
A zatém słuszna, gdy się więcéy od nich cenię.

(*z przymileniem*)

Czasami umiém nadać przyiaźni znaczenie.
Hrabio! iakiś wewnętrzny pociąg mnie nakłania
Okazać ci dowody mego przywiązania.
Korzystaiąc ze szczęścia poznania Acana,
Przyznaię, że mi iego przyiaźń pożądana. (*ściskago*)
Jeśli chcesz Hrabio, całem znaczeniem ci służę,
Poznam cię wszędzie, w domy zaprowadzę duże.

Im dłużey znam cię własną zaręczam osobą,
Że wkrótce młodzi naszey staniesz się ozdobą.
Wszystko do tych przyiaznych wniosków mnie ośmiela;
Tak, naywiększego we mnie widzisz przyiaciela.

BOGACKI.

Dziękuię za te iego przyiaźni zapały,
Lecz wiedząc, że Pan Baron w tych związkach niestały,
Nie chcę bynaymniey losu doświadczać Starosty.

BARON. (*na stronie:*)

Chciałem mu zaszczyt zrôbić, lecz to drągal prosty.

SCENA IX.

DAWNIEYSI, STAROSTA.

STAROSTA.

Godzisz się Mości Hrabio rzucać nasze grono?

BOGACKI.

Odszedłem, gdy stoliki do kart zastawiono.

BARON.

Cher ami! ia tu gościa twego zabawiałem,
Wiele mu o przyiaźni naszey powiedziałem,
Także, ile szacunku znam dla tego domu,
A wiesz, że ia nie lubię sprzyiać lada komu.
Przyiaźń prawdziwa wiele ma dla mnie ponęty,
Lecz zwykłem ią oszczędzać.

BOGACKI. (*na stronie:*)

Kłamie iak naięty.

STAROSTA.

Baronie, córki moie zostawiłeś same.

BARON.

Prawda, moia powinność bawić każdą Damę,
Spieszę, do zobaczenia drodzy przyiaciele.
(*Odchodzi.*)

SCENA X.

STAROSTA, BOGACKI.

BOGACKI.

Mości Starosto, mam ci powinszować wiele,
Mieć tak wielkich przyiacioł, iestto skarb nie lada.

STAROSTA.

Sądziszli Hrabio, że ón prawdę nam powiada?
To oszust, znam go dobrze, to pieczeniarz głodny,
Lecz przyymować go grzecznie każe mi ton modny.
Zna ón całą Warszawę, iest w związkach z Panami,
A ia także mam miesce między Magnatami.
Potém, co mu naywięcéy dodaie słodyczy,
Maiątek po bogatym wuju odziedziczy,
Z czasem mogę go z którą z mych córek ożenić.

BOGACKI.

Starosto! szczęście córki chcesz tak mało cenić,
Że wydasz za oszusta, byle był bogaty?
Czyliż nie przewiduiesz z takich związków straty?

STAROSTA.

Gdzie tam, na wielkim świecie o tém nie słyszano,
Tu nie ma żadnéy pary, by była dobraną,
Jednak żyią iak mogą, nikt o to nie pyta,
A powadzą się z sobą, to rozwód i kwita.
Istotnie, tak dalece myśl u nas nie sięga,

Interes łączy związki, interes rozprzęga.
Lecz daymy temu pokóy, iakże córki moie
Zyskałyż Mości Hrabio pobłażenie twoie?
No iakże? Wyznay śmiało, ia się nie urażę.

BOGACKI.

Trzech wszystkich piękny rozum i powabne twarze,
Jednakże mnie naymłodsza naywięcey zaymuie.

STAROSTA.

Amalcia? O uważam, że Hrabia żartuie,
Tyle co starsze nie ma ieszcze wychowania.

BOGACKI.

Jak wieśniak mało zgłębiam, nie roztrząsam zdania,
Lecz daruy, gdy Starosto prawdę ci wynurzę,
Z nią podzielałbym życia i szczęście i burze.
Gdy mi Waćpan Dobrodziey dasz tego anioła,
Nic szczęśliwości moiey wyrównać nie zdoła.
W zawiści godnych ludzi policzę się rzędzie.

STAROSTA.

Bądź dobrey myśli Hrabio, ona twoią będzie.
Zechce cię, tyle przecie mieć będzie poięcia.
Póydź więc niech cię uściskam, uściskam iak zięcia,
Bądź przekonany, że ci z serca ią oddaię.

BOGACKI.

Jednak zapytać Panny każą obyczaie.

STAROSTA.

Przystanie, iak iey oyciec, zaręczam cię śmiało.

BOGACKI.

Chcę, żeby z iey ustami serce się zgadzało.
Czyli może mnie kochać, niechay wyzna szczerze,
Bo do tonu dobrego ieszcze nie należę,

A boiąc się przykrego w małżeństwie zawodu,
Kiedy się raz ożenię, nie chciałbym rozwodu.

STAROSTA.

To dobrze, wnet iéy słowa same ci obwieszczą.

BOGACKI.

One mnie w rzędzie ludzi szczęśliwych umieszczą.
(*Starosta dzwoni. Jean wchodzi.*)

SCENA XI.

DAWNIEYSI, JEAN.

STAROSTA.

Proś Panny Amalii. (*Jean odchodzi*) Wielką dla mnie chwałą,
Że iednę z córek moich szczęście to spotkało,
Iż taki mąż szanowny, mężem iéy zostanie.
Jednakże, bym ci szczere uczynił wyznanie,
Racz wiedzieć, że od dawna żyiąc okazale,
Straciłem i posagu nie mogę dać wcale.
Mam dobra, ale te mi potrzebne na życie,
Po śmierci moiéy, to się niemi podzielicie.

BOGACKI.

Słowy temi Starosto iestem urażony,
Nie myślę o posagu, kiedy szukam żony.
Miłości, przywiązania pragnę z duszy całéy,
A te gdy znaydę, posag u mnie ceny małéy.
Nie mówmy o tych fraszkach, bo mnie to iuż gniewa.

STAROSTA. (*na stronie*)

Szczególny człowiek, posag fraszkami nazywa.
(*głośno*)
Apropos iedno ieszcze, gdy mym zięciem będziesz,

Spodziewam się, że z nami w Warszawie osiędziesz.
Z tobą przybędzie nowa stolicy ozdoba,
Wspólne wydatki, wspólny dóm mieć będziem oba,
Wspólne wieczory, wspólne dawać będziem bale.

BOGACKI.

Ależ Mości Starosto...

STAROSTA.

Bez żadnego ale
Przystaniesz.

BOGACKI.

Nie, bynaymniey na to nie przystanę
I gdzie się urodziłem, do śmierci zostanę.
My wieśniacy do stolic nie iesteśmy zdatni,
Wolę być na wsi pierwszy, niż w mieście ostatni.
Chcecież, bym tu roztrwaniał oszczędności plony,
Karmił głodnych oszustów, nudne fanfarony,
A oni o ofiarę moię mało dbali,
By mnie niszcząc, zaocznie głupcem wyśmiewali;
Nie, nic z tego nie będzie, zostanę, gdzie wzrosłem,

STAROSTA. (*n. s.*)

Trudno trafić do końca z tym wieśniaczym osłem.

SCENA XII.

DAWNIEYSI, AMALIA.

AMALIA.

Papa wołać mnie kazał.

STAROSTA.

Amalciu, mów śmiało,
Nikogoż ieszcze serce twoie nie wybrało?

AMALIA.

Ja nie rozumiem papy.

STAROSTA.

To iasne pytanie.

BOGACKI.

Oświadczyłem do Pani moie przywiązanie,
Papa przystał, a Pani dasz mi rękę swoię?
Mów Pani, choć się z duszy odrzucenia boię,
Wszystko od niéy poniosę, wyrok nawet srogi,
I z żalem w sercu rzucę domu tego progi.

AMALIA.

Ja... (*spuszcza w dół oczy*)

STAROSTA.

Przystała, rumieńczyk iasno to wyraża;
Panny zawsze ze wstydem idą do ołtarza.
Minka gdyby u trusi, gębułka stulona,
A w oczach widać skrytéy radości znamiona.
Śmiałości nabieraią dopiero po ślubie,
Vraiment tych ceregellów ogromnie nie lubię.
No, bierzcie się i basta, (*łączy ich*) a w téy ważnéy sprawie
Ja iako oyciec, pierwszy was pobłogosławię:
Dieu vous rende heureux, cher enfants
Soyez toujour contents et restez vous amants.

BOGACKI.

Ależ proszę po polsku.

STAROSTA.

Niechże i tak będzie:
Żyycie w zgodzie szczęśliwi i zawsze i wszędzie

Umieycie niepotrzebne tłumić w sobie żądze,
Niech się was nie puszczaią miłość i pieniądze.

SCENA XIII.

DAWNIEYSI, EUFROZYNA, LUDMIŁA, BARON.

STAROSTA.

Przybywaycie świadkami być wielkiey ugody,
(*przedstawiaiąc*)
Oto iest Panna młoda, a to iest Pan młody.

EUFROZYNA.

Co słyszę!

LUDMIŁA.

Czy podobna!

BARON.

Winszuię, winszuię!
I dobrze, że się właśnie w tey chwili znayduię;
Zapraszam się za drużbę z Panną Eufrozyną.
(*Eufrozyna sądząc, że ią wyszczególnia, kłania się*)
Ale naprzód zamawiam sobie stare wino,
Inaczey nie przyiadę, zawczasu donoszę.

STAROSTA.

Daley więc Państwo młodzi proszę z sobą, proszę,
Śpieszmy się, póydźmy ślubną podpisać umowę.

BARON. (*zatrzymuiąc ich*)

Ja znowu Państwa proszę na wesele nowe,
Żenię się także.
(*Starosta, Eufrozyna i Ludmiła natężaią uwagę*)

STAROSTA.

Z kimże, z kim?

BARON.

Z dawną kochanką.

EUFROZYNA. (*na st.*)

To ia.

LUDMIŁA. (*na st.*)

To ia zapewne.

BARON.

Z Panną Kasztelanką.

Po ślubie wyieżdżamy pocztą za granicę,
Tymczasem lecę całą oznaymić stolicę,
Że się Państwo żenicie. (*kłania się wszystkim*)
Sługa uniżony. (*odchodzi.*)

(*Starosta, Bogacki i Amalia odchodzą do pokoiu pobocznego.*)

SCENA XIV.

EUFROZYNA, LUDMIŁA, JEAN.

EUFROZYNA.

Mon dieu! Co za wietrznik!

LUDMIŁA.

To trzpiot uprzykrzony.
(*żartuiąc sobie z Eufrozyny*)
»On moim iest, gdy tylko Bogacki mnie minie,«

EUFROZYNA. (*żartuiąc sobie z Ludmiły*)

»Mylisz się, ia ci mówię, że ón za mną ginie.«

LUDMIŁA.

Ah! słabo mi, dla Boga! ah! słabo mi, mdleię!
(*pada na krzesło*)

EUFROZYNA.

Uczuwam spazmy, serce drzy we mnie, trętwieię.

(*pada na drugie krzesło*)

JEAN. (*wchodzi i dzwoni przestraszony*)

Dla Boga! Wszakto Panny obiedwie pomdlały.

SCENA OSTATNIA.

MARYSIA przybiega; EUFROZYNA, LUDMIŁA, JEAN.

MARYSIA.

Nie ma niebespieczeństwa, ot spazmów dostały!

(*Zabiéra się do trzéźwienia, a w tém zasłona spada.*)

KONIEC KOMEDYI.

HAYDAMACY.

POEMA

WE TRZECH PIEŚNIACH.

NAPISANE ROKU 1825.

Ot lepiéy pióro wezmę i śród ciszy,
Gdy się bez ładu myśl plącze,
Zacznę coś pisać dla mych towarzyszy,
Zacznę, bo nie wiém, czy skończę.

A. Mickiewicz.

W S T Ę P.

DO * P.

Ty! którey urocze wdzięki
    Starałem się przelać w rymy,
Przyymiy tę fraszkę z mey ręki,
    Owoc przeszłoroczney zimy.
Czuiąc nieudolne chęci
    Innych zdania cenię mało,
    Dosyć dla mnie będzie chwałą,
Wiekować w twoiey pamięci.

HAYDAMACY.

PIEŚŃ PIERWSZA.

I.

Pop mszą skończywszy wyniósł krzyż z ołtarza, *)
Starszym Kozakom całować go daie,
Cisną się dzielne Zaporożców zgraie, **)
Które obficie żegnaniem obdarza.
A potém: Hurrah! wykrzyknęli razem,
Każdy rączego dosiada rumaka;
Koszowy naprzód z weyrzeniem junaka ***)
Ostrém w pochewce zabrząknął żelazem.
Poprawił pasa i czapkę na głowie
I Kampańczyków bacznym mierząc wzrokiem, ****)
Mowny milczeniem, chociaż skąpy w słowie,
Zuchwałem tylko w koło strzelał okiem.

---

*) Było zwyczaiem u Kozaków, że gdy na zdobycz wyieżdżali, Xiądz obrządku greckiego błogosławił ich wyprawie.

**) Nazywali się Haydamakami czyli Zaporożcami i mieszkali w Stepach Siczy.

***) Hetman ich nazywał się Koszowym.

****) Wysłużonych Kozaków nazywano Kampańczykami.

Wszyscy z obozu ruszyli w milczeniu,
Ciągnie powoli kureń po kureniu, *)
Forkaią konie, powstaie kurzawa,
Bałwanem prochu okrył się step dziki,
Z chorągiewkami igraią wietrzyki.
  Dokądże śpieszy tak liczna wyprawa,
Dziesięć kureni dokąd ciągnie żwawo?
Nad brzegiem Dniepru iest Pan znakomity,
Sławny z dostatków pomiędzy Lechity,
Z nim zamyślaią stoczyć walkę krwawą.
Ma dużo wina i wódki dość wiele,
Zda się mołoycom iego zapas wszelki, **)
Bo Kozak duszkiem wypróżnia butelki,
Wino i oręż, to iego wesele.

II.

Stefan pomiędzy mołoyców drużyną,
Celuie piękną postawą z daleka,
Gdyby go słońca nie zczerniła spieka,
Twarzą z urodną walczyłby dziewczyną.
W obozie wzrosły, śród szczęku oręża,
W ustroniach siczy kształcił się na męża.
I choć dopiero lat dwadzieścia liczy,
Mocno iuż dzidą wyrzuca w powietrze,
Z nieprzyiacielem odważnie się zetrze
I zawsze pewny uyrzaney zdobyczy.
Wesoło żyie w bitwach i u stołu,

---

*) Kureń tyle co pułk, wszystkich Kozaków było 40 kureni, w kureniu 10 chorągwi.

**) Mołojec, młody Kozak.

I ieśli co go dręczyło w tym stanie,
To braci starszych częste urąganie,
Że z nimi wąsów nie nosił pospołu.
Mchem mu dopiéro porastała broda;
Nieraz Kampańczyk, który go wychował, *)
Temi go słowy przed bracią żałował:
»Że nie ma wąsów, iaka wielka szkoda!«

III.

Niebo iaśniało w południa ozdobie,
Gdy się przez wały Dnipru przeprawiali;
Cisza tam była w około iak w grobie
I tylko w chwilach słychać szelest fali.
Raźnie płynęły zapienione konie
Na brzeg skalisty darły się z ieźdzcami,
Żywioł burzliwy tłukły kopytami
I na rozległe dostały się błonie.
Błyszczą do słońca Kozaków oszczepy,
Pierwszy Kampańczyk dał znak głosem z rogu,
Że iuż wkroczyli za przyiaźne stepy,
Tak niezmierzone, iak pomysł o Bogu.
Jadą i iadą, nic nie widać zgoła
I nic nie słychać, tylko rżenie koni,
Tam nie obaczysz ni lasu, ni sioła,
Ani skowronek w powietrzu nie dzwoni.

*) Kozakom nie wolno było żenić się, kradli oni dzieci płci męskiéy i wychowywali w rzemiośle swoiém. Każdy Kampańczyk miał swego wychowanka. Kozak przekonany o związki z kobiétą publicznie smagany był w obozie, z resztą prowadząc życie towarzyskie razem składali łupy i z iednego żywili się stołu.

Tak przez dzień cały iadąc bez ustanku
Przez smętne pola, przez niwy milczące,
W wieczór na buyney odpoczęli łące,
Gdzie umyślili czekać do poranku.
Każdy Haydamak dzidę zatknął w ziemię,
Koniowi swemu ociera pot z grzywy,
Sam, choć wytrwałe wydało go plemię,
I uznoiony i spoczynku chciwy
Ulega zwolna osłabioney sile,
Napił się wódki, posilił się chlebem,
A choć na rosie, choć pod gołém niebem,
Jak na puchowém łożu usnął mile.

IV.

Słońce się ieszcze nie dobyło z morza,
Gdy iuż Kozacy do wyiazdu śpieszą,
Dnia pogodnego nadzieią się cieszą,
Który im iasna zapowiada zorza.
A gdy słoneczny okrąg z po za góry
Płynął po modrych obłokach wspaniale
I w Dniepru czystym kąpał się krysztale,
Uyrzeli z dala iakieś wzniosłe mury.
Byłto ten, który napaść chcieli zamek,
W koło stoiącą oblany był wodą,
Do dwu żelazem okowanych bramek,
Mosty wiszące na powietrzu wiodą.
Hurrah! Kozacy krzyknęli radośnie
I woyskiem swoiém wstępy osadzili,
W słabym odporze odwaga ich rośnie,
Natarli, bramy pękły w iedney chwili.
Runął baszt mocą czasu w ziemię wklęsły,

Skrzypły wrzeciądze, mury się zatrzęsły.
Gmach ten nie wiele mieścił w sobie mężów,
Ci chociaż walczą, walczą iak szaleni,
Zewsząd Kozaków tłumem otoczeni,
Ulegli sile zwycięskich orężów.
Brzmią sale zamku zwycięsców okrzykiem,
Gdy mocą giermków zamkowych odparli;
Już tryumfuiąc na schody się darli,
Niosąc śmierć w ręku i w spoyrzeniu dzikiém.
Tak kiedy iedni wszędzie śledząc łupów
Po dólnych gmachach szukali w około,
Drudzy usławszy krwawą drogę z trupów,
Na wyższe piętro wpadali wesoło.
Po ich wpadnięciu słychać krzyk niewieści,
Który żałośnie wychodził z komnaty.
Pewnie znaleźli iaki łup bogaty,
Pewnie w tym gmachu skarb drogi się mieści.
Tak iest, skarb drogi, skarb nieoceniony!
Dziewica blaskiem wdzięków iaśnieiąca;
Tak przy niey gaśnie innych wdzięk sławiony,
Jak gasną gwiazdy przed obliczem słońca.
Byłato córka zamku właściciela.
O nieszczęśliwa! któż ciebie obroni,
Kto śród napaśców z mieczem zemsty w dłoni
Na pomoc tobie pośpieszy ślachetnie?
Kto srogie więzy twéy niewoli przetnie?
Znaydzieszli w tłumie dzikich przyiaciela?

V.

Z orężem Stefan do komnaty wpada
I widzi obraz samych piekieł godny:

Na sofie martwo leży piękność blada,
Którey pieszczoney twarzy wdzięk urodny
W łono hyenny wlałby litość tkliwą.
Przy niey zuchwały Kozak z mieczem w ręku,
Co mimo piękney czarownego wdzięku
Chciał ostrzem stali przeszyć nieszczęśliwą.
Ze wstrętem Stefan widzi czyn takowy,
Pierwszy raz piękność przed iego oczyma
Łzy z ócz wysącza, z żalu piersi wzdyma
I nieszczęśliwych używa wymowy.
W zapędzie cnoty nic Stefan nie zważa,
Gniewem płonący, z gołym nożem w dłoni
Nawet swoiego towarzysza broni
Pociskiem śmierci przeszył iak zbrodniarza.
Patrzy nań piękność i twarz zarumienia,
Nagle się zrywa, pada na kolana
I u nóg iego zdroiem łez oblana,
Składa wymownie czułe dziękczynienia:
»Mężu ślachetny, myślący wspaniale,
»Z kąd pod tym stroiem w tobie ludzkość taka?«
Na to iey Stefan odpowiedział skromnie:
»Słusznie pomocy mogłaś żądać po mnie,
»Wszak czuie ludzkość i serce Kozaka.
»Wzrosły w obozach ludzkość zachowałem,
»Do cnót wrodzonych przywiązany stale:
»Litość i w serce bojaka się wkrada.
»Tak, poprzysięgam przed Boga obliczem,
»Na nic niebaczny, niezrażony niczém,
»Każdąbym z takim obraniał zapałem,
»Która pod ciosem przemocy upada.«

I poyrzał na nią roskoszy wyrazem
I podniósł z ziemi i zaniemiał z trwogi.
Patrzył bez wstrętu na mord i pożogi,
Na dzid pociski leciał niezlękniony;
Nie dał się groźnem odstraszyć żelazem,
A wzrok dziewicy, wzrok czule pieszczony
Tak go milczącym zrobił w iedney chwili.
Lecz kogoż wabna piękność nie uięła,
Kiedy czułością spoyrzenie umili;
Na głos dziewicy któż zimnym być może!
Czyy wzrok w powabów nie utonie zbiorze!
Stefan w niey wielbiąc cud Boskiego dzieła,
Stopniowo w większe zachwycenie wpadał,
Oczyma wdzięki pożerał dziewicy,
Już wzrok iey czuły sercem iego władał,
Wzrok od ognistey szybszy błyskawicy;
Wzrok, który czucie mógłby wlać w kamienie,
Śmiertelnikowi nadać nieśmiertelność
I przez miłości czarowniczą dzielność
W pierś umarłego wcisnąć życia tchnienie.
Białość marmuru twarz iey okrywała
Cieniem rumieńca skraszona nie wiele,
Tak była piękna, iak anioł w kościele,
Wydany ręką wielkiego Rafała.

VI.

»Chętnie dla ciebie życie me poświęcę,
Rzecze iey Stefan z młodziana zapałem;
»Lecz ieśli w sroższe dostaniesz się ręce,
»Gdy pomnożona siła tu przybędzie,
»Czyż w gorliwości chwalebnym zapędzie

»Zdołam żelazem obronić cię śmiałém?
»Uciekay Pani, uciekay na zawsze
»Z miesc tych, gdzie twoie zagrożone życie.
»Uchodź, bespieczne ieśli wiesz ukrycie;
»A gdy ci chwile zabłysną łaskawsze,
»Na łonie szczęścia, w pomyślności stanie,
»Pomyśl niekiedy o wiernym Stefanie.«
— »Wiém pewne miesce« dziewica odpowie;
»Tam, gdzie są nasi złożeni przodkowie,
»W smętnym ich grobie bespiecznie się skryię;
»Tam nie wyśledzi mnie oko niczyie,
»Ale do grobu sama weyść się boię.«
— »Ja póydę z tobą!« mołoiec zawoła,
»Chętnie usługi poświęcę ci moie,
»Chętnie się braci wyrzeknę dla ciebie;
»Wola twa wszystko zrobić ze mnie zdoła,
»Choćbym w samego szczęścia mieszkał niebie,
»Chętnie dla ciebie poszedłbym do piekła,
»Zginąłbym chętnie, gdybyś do mnie rzekła:
»Stefanie! śmiercią twą będę szczęśliwa!«
— »Ja« rzekła Emma (to imię iey było)
»Za dobroć twoię składam ci podziękę:
»Póydę, bo ufam i cnocie i tobie;
»Bóg na nas patrzy, drzyy przed nim Stefanie,
»Gdybyś mnie zdradził, w méy obronie stanie
»I za niewinność pomściłby się srodze.
»Chodźmy więc, chodźmy, bo iuż czas upływa,
»Chodźmy schronienia w zimnym szukać grobie.«
I wstała z miesca i swą rączką miłą
Łagodnie wzięła Kozaka za rękę.

Drzwiami skrytemi w kamienney podłodze
Oboie milcząc schodzili ku ziemi,
A cnoty anioł postępował z niemi.
Młodzian przy Emmie zapomniał o wszystkiém,
O stepach, koniu i mieszkańcach Siczy,
Szedł, dokąd wierna miłość go wzywała,
Dokąd mu piękna Polka przewodniczy,
Tak ona odtąd wolą iego chwiała,
Jak wiatr iesienny drzącym chwieie listkiem.

KONIEC PIEŚNI PIÉRWSZÉY.

PIEŚŃ DRUGA.

I.

W grobie ponura panowała cisza,
Lampa wisząca na środku sklepienia
Nocy okropnéy rozdzielała skrzydła.
Emma przy boku swego towarzysza
Nie przerywaiąc głuchego milczenia
Do grobu środka drżącym weszła krokiem,
Obrazy przodków iak nocne straszydła
Śledzi po ścianach przelęknionym wzrokiem.
Tuli się drżąca do Kozaka boku,
Serce iéy biie przy sercu młodziana,
A miłość czucia napływem wezbrana,
Drga w iéy serduszku, iaśnieie w iéy oku.
Mołojec ledwo sobą samym włada,
Krew biegiem wrzącym płynie w iego żyłach,
Czule do serca dłoń Emmy przykłada,
To się rumieni, to słabnie na siłach.
To iak śnieg blednie, to blednie iak chusta,
Głowę nachylił ku iéy piękn éy głowie
I wyrażaiąc tkliwość w każdém słowie,
Do ust iéy boskich przytknął swoie usta.
Z lekka od siebie Emma go odpycha,
Jednak za rękę z przyciskiem go trzyma,

Jednak chciwemi patrzy nań oczyma
I w dół ie spuszcza, i łagodnie wzdycha,
I ciśnie zwolna miłą dłoń do dłoni,
Gors iey z pod cienkiey podnosi się szaty,
Tak, iak po deszczu podnoszą się kwiaty
I powtórnego całuska nie broni.
»Kocham cię Pani!« rzekł młodzian nieśmiale,
»Kocham cię więcey, niż mego rumaka,
»Tyś mnie w morderczym wstrzymała zapale,
»Tyś wlała ludzkość do serca Kozaka.
»Przy tobie innym zostałem człowiekiem;
»Gardzę włóczęgi niemiłém rzemiosłem,
»Dla cię wspomnieniem wzniosę się dalekiém
»Do miesc, w których się urodziłem, wzrosłem.
»Czém teraz iestem, nie zawsze bywałem,
»Złoto, dostatki widziałem w kołebce,
»Ale w Kozaków napaśney zaczepce
»Oyca i wolność razem postradałem.
»Lecz nic mi wybić nie mogło z pamięci
»Straty rodziców i godności rodu;
»Będąc do cnoty wprawiany za młodu,
»Mało do mordów czułem w sobie chęci.
»Już nie powrócę w stepy do mych braci,
»Usługi twoiey poświęcę osobie,
»Choć mnie w naylichszey umieścisz postaci,
»Będę szczęśliwy, gdy będę przy tobie.«
Nic mu nie rzekła Emma na te słowa,
Lecz iey milczenie wiele przemawiało;
Gdy oko iego iey oka szukało,
Uyrzał, że roskosz poiła ie nowa.

I znów do serca przycisnął ią tkliwie,
Z nierównym od niéy ściśnięty zapałem,
Uczuł, że przy niéy mógłby żyć szczęśliwie,
Szczęśliwiéy, niźli kiedy w życiu całém.

II.

Dzień z sobą w grobach siedzieli oboie,
Ah! ileż szczęścia nadała im miłość!
Stefan z ust Emmy pił roskoszy zdroie,
Które uprzeyma słodziła zażyłość.
Od niéy usłyszał iéy ufnością błogi,
Że dotąd oyciec nie wrócił z Warszawy,
Gdzie iako piastun koronnéy Buławy
Siada na Seymie, w Senatorów gronie,
Że przed nim nie raz drzały Państwa wrogi
I że iest między piérwszymi w koronie.
»Gdyby był tutay« tkliwie Emma rzekła,
»Pewnieby zamku nie napadli twoi,
»Przed nimby zgraia naiezdców uciekła,
»Bo oyca mego naiezdnik się boi.«
Potém dodała z czułości wyrazem:
»Jam nieszczęśliwa i szczęśliwa razem;
»Gdyby nie napad twych braci Stefanie,
»Byłabym żyła w tym zamku swobodnie,
»Z spokoynėm sercem i w spokoynym stanie
»Obce Kozaków byłyby mi zbrodnie,
»Alebym była ciebie nie poznała.«
Rzekła i zdobna powabem rumieńca,
Który iak ogień na licu iéy pała,
Rękoma swemi obięła młodzieńca.
On głosem czucia miłość iéy opiewa,

Do serca swego tuli ią radośnie,
Tak, iak w dniach Maia, w kwiatorodney wiośnie
Ulotny powóy tuli się do drzewa.

III.

»Póydę, obaczę, co się w zamku stało.«
Rzekł Stefan tkliwie ściskaiąc dłoń Emmy.
»Zostań, powrócę wnet za chwilkę małą,
»Bo czegoż dłużey czekać tu będziemy?
»Gdy się iuż nasi z zamku oddalili,
»Sam cię odwiozę do twoiey rodziny:
»Tyś odtąd starań moich cel iedyny,
»Tyś Panią czynów moich od tey chwili.«
Rzekł, Emma czule na niego pogląda,
Nie śmie powiedzieć, że drzy samą zostać,
Milcząc spokoyney bierze na się postać,
By rychło wrócił, tego tylko żąda.
Gdy odszedł, z czuciem na kolana pada,
Zasyła modły przed grobu ołtarzem,
Oczy do góry wznosi, rączki składa
I przed Mocarzów korzy się Mocarzem.
Jak perła rosy niewinna i czysta,
Błaga niebiosa o cierpień ulżenie;
Modły iey grobu powtarza sklepienie,
Obudza niemi uspionego Echa,
W tych smętnych gmachach odgłos obumarły.
Tam, kędy tronu posada gwiazdzista
Otacza blaskiem światów Stworzyciela,
Tam lotem światła iey myśli się wdarły,
Z tamtądto dla niey zawita pociecha,
Z krainy szczęścia, wiecznego wesela.

IV.

Zamek od wrogów całkiem opuszczony
Stawiał spustoszeń dzikie widowisko ;
Po czarnych ścianach krwią był pobroczony,
A na dziedzińcu główney bramy blisko,
Przy obalonym z marmuru kolosie
Kruki szarpały ciało porąbane
I wyrażały chciwość w gniewnym głosie.
Kozak ciekawie te zwłoki obziera,
Poznaie rysy dobrze iemu znane
Rysy miłego broni towarzysza,
Z którym zażyłość łączyła go szczéra.
Westchnął i gdyby wryty przy nich staie,
Żarłocznych ptaków odganiaiąc zgraie,
Ich wrzaskiem głuche przerywa zacisza.
Łzą tkliwą skropił przyiaciela zwłoki,
Czule za martwą ścisnął go prawicę,
Czule na iego zimne poyrzał lice
I w męskich piersiach uczuł żal głęboki.
Widząc, że kruki zbliżały się znowu,
Miłe mu szczątki zarzuca do rowu,
Różnych kamieni przywala ie stosem
I rozrzewniony smutnym rzecze głosem:
»Spoczyway tutay po życia utracie
»Nieopłakany w tey zimney mogile;
»Lecz gdy i życia mego wioną chwile,
»I oniemieie serca mego bicie
»Tam nowe dla nas rozpocznie się życie,
»Tam się iuż nigdy nie rozłączém bracie.«

V.

Z zamku do wioski szybkim krokiem bieży,
Porywa konia, co się pasł na łące,
Któremu grzywa na karku się ieży
I miotął z nozdrza tchnienia goreiące.
Zapewne w dzikim Kozaków zaborze
Umknął ze stayni na pobliskie niwy;
Siada nań Stefan chwytaiąc się grzywy
I pędzi rączo, ile zdążyć może.
Uczuł się znowu w swym własnym żywiole,
Leciał iak myśli, iak błysk piorunowy
Przez niwy, doły, pagórki i rowy;
A rumak gwiazdką połyskał na czole,
Rozrzucał ogień w spoyrzeniach ukryty,
Forkał i tętniał raźnemi kopyty.
Przed wstęp do grobu iak strzała przypada,
Konia przywiązał do słupa z kamienia
I czekaiącey Emmie zapowiada
Oswobodzenie z przykrego więzienia.

VI.

Emma na konia siada przy Stefanie,
Do ciotki iadą ku stronom Podola,
Przez wonne łąki, chlebodawcze pola,
Gdzie buyne żyto, złotawa pszenica
Łyska na każdym w dużych kłosach łanie.
Tak iadąc szybko przy świetle xiężyca,
Kozak do serca dziewicę przyciska,
Która na widok ciemney nocy drząca,
Patrzy z obawą na czarniawe chmury,
Na igraiące po błotach ogniska

I na widoczne z dala groźne góry,
Po których xiężyc światło swe roztrąca,

VII.

Powoli bladły modrawe niebiosa,
Mgła ranna góry otaczała wieńcem;
Na łąki hoynie opadała rosa.
Jutrzenka wstydu okryta rumieńcem,
Dnia rydwanowi przodkowała skromnie.
Jakże wspaniale świetny okrąg słońca
Oświecał ziemię od końca do końca
I ciemność pożył w utarczce zaciętey!
Tak niegdyś szatan zgrzeszywszy ogromnie
Pędzony z nieba błyskiem broni świętey,
Drżący, iak w burzy cedry na Libanie,
Uchodził trwożny w piekielne otchłanie;
Dnia przyyście życiem okryło naturę,
Po skałach Echa ocknęły się spiące;
Niebo od wschodu przebrane w purpurę,
W koło promieni ciskało tysiące.
Ptasząt rozlicznych świegotliwe zgraie
Hymn dziękczynienia Temu zaśpiewały,
Który nam słońce, który dzień nam daie,
Uskramia burze i orkany pęta,
Który niewinne nakarmia pisklęta
I życiem dzikie upowabnia skały.
Jakże przyiemnie w tkliwém Emmy oku
Każdy promyczek słońca się odbiiał,
Jak mile wietrzyk iey włoski rozwiiał;
Kozak z roskoszą patrzył w iey oczęta,
Uciecha duszy tlała w iego wzroku.

Srogie przymusu rozrywaiąc pęta,
W pół ią opasał rękoma swoiemi,
I na iéy ustach wyrył piętno wiary.
Przed wzrokiem iego wszystko nikło z ziemi;
Ledwo widzialnie, tak iak nocne mary
Rzeczywistości oglądał przedmioty;
Emma ie wszystkie wypełniała sama
I mocą lubéy łask swoich szczodroty,
Przez słodycz spoyrzeń, małych względów mnóstwo,
Tak nim władała, iak w świątyni bóstwo,
Jak piękna Ewa uczuciem Adama.

VIII.

Koń, ile zdążyć mógł, pośpieszał czwałem,
Ziemia pod iego tętniała kopytem,
W tém śród gór lekkim okrytych błękitem,
Wał się podnosił, a zamek nad wałem.
Zamek ten drogi kochanków był celem,
Emma nań z serca patrzyła weselem.
Z taką radością wędrowiec daleki
Oyczystą ziemię, dóm oyczysty wita;
Dóm mu naymilszy, miły mu na wieki,
W którym prawdziwe szczęście mu zakwita;
Dóm, gdzie mu wszystko śród miłych pamiątek
Szczęśliwéy wiosny przypomina chwile,
Gdzie każde miesce śmieie mu się mile,
Każdy wspomnieniem bawi go zakątek.

KONIEC PIEŚNI DRUGIÉY.

PIEŚŃ TRZECIA.

I.

Z uczuciem serca witała ich ciotka,
Jakże za ludzkość wdzięczna Stefanowi;
Miła iéy grzeczność, iéy rozmowa słodka,
Mało zwyczayna wyższemu stanowi.
A zwłaszcza wtedy, gdy przesąd zdawniały
Jeszcze nad kraiem polskim srodze ciężał
I ludzi niższych wzgardą uciemiężał,
Chociaż zasługi ich uślachetniały.
Co tylko przepych, co daie wytworność,
Wszystkiego w zamku doznaią obficie,
Bo ciotka Emmę kocha iak swe dziécię
I starodawną zachowuie dworność.
W témto zamczysku za czasów Jadwigi,
Jeszcze gościnność polska była w cenie,
Po salach zgraie giermków na wyścigi
W złocistych misach, śrébrnych rostruchanach
Stroyno po perskich stąpaiąc dywanach,
Nosiły drogie wina i iedzenie.
Lecz nad przepyszne sale, gmachy świetne,
Milsze są Emmie o wieczornéy porze

Ciche przechadzki po pobliskim borze,
Gdzie iodły, dęby i buki stoletne.
Czasem z nią Stefan przez gay się przeciska
Słodko poufną zaięci rozmową,
Na przyrodzenia piękne widowiska,
Że razem, patrzą z przyiemnością nową.
Bawi ich xiężyc, gdy po śrébrnym stawie
Cicho, iak pierwsze dziewicy westchnienie,
Łagodne zdroie promieni roztrąca.
Bawi ich gaiu ponure milczenie,
Bawi ich owad skacząc po murawie
I łzami rosy zlane bawią kwiaty.
Bawi ich gwiazdka w tle niebios błyszcząca;
I wspólnie całéy dziwiąc się naturze,
Tego z pokorą śledzą w każdéy chmurze,
Który utworzył i trawkę i światy.
Jakże ta cisza, co niwy osiadła,
Stawiaiąc obraz iéy duszy źwierciadła,
Czułéy, iak drzący listeczek krzewiny
Mile bawiła serduszko dziewczyny.
Nikt tam nie słyszał iéy uniesień głosu,
Cała natura była dla niéy głuchą,
Tylko niekiedy słowik z głębi wrzosu
Wywodząc śpiéwy iak zdróy rzéczki czyste,
Lubą kochanków ożywiał otuchą.
Czasami Emma z słodką lutnią w ręku,
Przerwawszy nocy cisze uroczyste,
Budziła Echa akordami dźwięku.
Miłym Stefana zabawiała śpiéwem,
Tyle mu miłym, ile matce dziécię,

Ile ptakowi poranka przybycie:
Pierwszéy młodości opiewała chwile
I iak iéy szczęście na matki mogile
Wionęło srodze z lat późnieyszych przyściem.
Tak płochy wietrzyk za iednym powiewem
Strąca motylka, który igra z liściem.
Potém miłości śpiewała początek:
Jak pierwsze czucia w sercu iéy powstały,
Błogi roskoszy rozsnuwał się wątek
I w sercu rosły stopniowo zapały.
Nowego życia nowe czuła wdzięki,
Przed iéy oczyma nowy świat powstawał
I nierozdzielne od miłości męki
Tłumił w iéy duszy uniesienia nawał.
Śpiéwaiąc szczęście, szczęściem napełniona,
Kiedy ią roskosz przeymuie nieznana,
Westchnienie z głębi wydobywa łona
I ledwie czuciem przepełnionem włada
I rzuca lutnią i w obięcie pada
Ubóstwionego iéy ogniem Stefana.
Z każdego kwiatka roskosz dla nich trysła,
Roskosz będąca aniołów udziałem;
Xiężyc się do nich uśmiéchał z roskoszą.
Każda miłością gwiazda im zabłysła,
Świat cały swoim obięli zapałem;
I skały dzikie, co się w piętra wznoszą,
Ich goreiącém czuciem umilone
Miesc raju godnych przywdziały osłonę.
Ale zamilknę, czyliż słabém pieniem
Zdołam wyrazić roskoszy tak wiele;

Czyż słabém piórem kréślić się ośmielę
To, co w mém sercu będąc uczuć w stanie,
Daleko mowniéy oddałbym milczeniem.
Nigdy tak wielka nie zwodzi mnie chwała,
Wiedząc, co znaczy opiewać kochanie,
Padam pod ciosem ważnych przeszkód mnóstwa;
Ten tylko, w czyiém sercu Bóstwo pała
I czyie myśli iak niebo swobodne,
Zanuci pienie godne uczuć Bóstwa:
Tylko niebiańskie pienie niebian godne!

II.

Cóżto za liczna ku bramie zamkowéy
Pięknych powozów zbliża się drużyna?
Pysznią się konie w szacie całkiem nowéy,
Wiatr z ich piórami pustą walkę wszczyna.
Z piérwszéy kolasy iakiś mąż wysiada,
Któremu czoło wiek porył zmarszczkami,
Znaczna pod okiem krysa zapowiada,
Że musiał z Polski ściérać się wrogami.
Sutą przy boku dźwigał karabelę,
Miał pod kapuzą kątusz na wyloty,
Na dużym palcu nosił sygnet złoty
I wszędzie złota i śrebra miał wiele.
Gdy Panią zamku powitał uprzeymie,
Uściskał Emmę z czułości weyrzeniem:
»Witay nam« ciotka zawoła »po Seymie,
»Witay nam bracie, witay nam Hetmanie.
»Wiész pewnie, iakiém znaglona zdarzeniem
»Emma w mym zamku obrała mieszkanie.« —
»Wiém« rzecze Hetman »i składam ci dzięki,

»Że córkę moię przyymuiesz łaskawie;
»Gdy słychać było po całéy Warszawie,
»Że Sicz pustoszy zyżną Ukrainę,
»Drzałem o Emmę, o dziécię iedyne.
»Ale poczuią dzielność moiéy ręki
»Ci, którzy śmieli móy zamek napadać.
»Już Seym umyślił wyprawę surową,
»Już pułki polskie zaczęły się składać,
»Wkrótce nasz obóz sztandary rozwinie,
»Wkrótce występnych czarna krew popłynie
»I za tę zbrodnią przepłacą mi głową.«
Rzekł i gdy ciotka o czynie Stefana
Wiele przed bratem rosprawiać zaczęła,
Błysnęła radość na twarzy Hetmana,
Wielbił ślachetność tak rzadkiego dzieła.
W twarzy Kozaka utopił źrenicę,
Z zapałem męską ścisnął mu prawicę
I rzekł do Emmy, któréy wdzięk uroczy
Milszym w taiemnéy wydawał się trwodze
I która skromnie w dół spuściła oczy:
»Za życie twoie czém mu wynagrodzę!«

III.

Radość w zamkowéy panowała sali,
Przyiazd Hetmana ucztą obchodzono,
Bliskich sąsiadów ziechało się grono
I wszyscy z dużych puharów spiiali.
Za zdrowie Emmy, za Hetmana zdrowie
Krążyły w koło pełne rostruchany,
A każdy starém winem był nalany,
Jakie waleczni spiiali przodkowie.

Przy stole kiedy rozliczne potrawy
Smak gospodyni głośno zaświadczały,
Gdy podniebienia zmysłom pochlebiały,
Ze zwierzyn, cukrów noszone zastawy,
Mały ze świty Hetmana chłopczyna
Wchodzi do sali iadalney z torbanem
I porozumion znakami z Hetmanem,
Siada, nastraia i śpiewać zaczyna:

Jakiżto zamek zdziczały
Wznosi się nad Dniepru brzegiem?
Broni go rzeka i skały
I góry okryte śniegiem;
Jakiżto zamek zdziczały
Wznosi się nad Dniepru brzegiem?

Był ón mieszkaniem Lechity,
Co zsiwiał służąc lat wiele,
Co dostoieństwy okryty
I gromił i radził śmiele;
Był ón mieszkaniem Lechity,
Co zsiwiał służąc lat wiele.

Dzisia puste iego gmachy
Puhaczów roie zaległy,
A w nocnych widokach strachy
Odnawiaią wiek ubiegły;
Dzisia puste iego gmachy
Puhaczów roie zaległy.

Poległeś mężu wspaniały,
Poległa i żona twoia,

Nie pomógł ci wawrzyn chwały,
Ni krwią wrogów zmyta zbroia;
Poległeś mężu wspaniały
Poległa i żona twoia.

Kozacy syna ci wzięli,
W dalekie uwieźli strony;
Dziś świat od ciebie go dzieli,
Na przykre losy rzucony;
Kozacy syna ci wzięli,
W dalekie uwieźli strony.

Kiedyż twóy Stefan kochany
Spełni powzięte nadzieie,
Wróci w swe oyczyste ściany,
Na twym grobie łzy wyleie?
Kiedyż twóy Stefan kochany
Spełni powzięte nadzieie?

Widzę go, iak z mieczem w dłoni
Wrogów Polski trupem ściele,
Twych zabóyców w stepy goni,
Pierzchaią nieprzyiaciele;
Widzę go, iak z mieczem w dłoni
Wrogów Polski trupem ściele!

Przestał, oklaski zahuczały w sali,
Stefan iedynie milcząc spuścił oczy,
Po głowie iego wir myśli się toczy,
A twarz rumieńca połyskiem się pali.
I ón podobnéy doświadczył katuszy,
Rodziców w oczach iego mordowano,

Potém sierotą z domu go zabrano,
A to wspomnienie tkwi mu dotąd w duszy,
Dotąd mu z piersi wyciska westchnienia.
Dotąd cień oyca spiekłą krwią zbroczony,
Nie raz mu we śnie przed oczyma staie,
Wskazuie sztylet, którym był rażony,
Którym mordercze przebiły go zgraie
I smętnym głosem wymaga pomszczenia.
— Po chwili Hetman tak się doń odzywa:
»Jak ci się zdaie ta powiastka tkliwa?
»Te opiéwane dopiéro przypadki
»Są twoie, oyca twego i twéy matki.
»Powieść młodości, powieść twéy niewoli!
»Na twarzy twoiéy podobieństwo iawne,
»Imię i wszystko wątpić nie pozwoli,
»Żeś syn Lackiego, mego przyiaciela,
»Z którym mnie związki połączały dawne.
»Uproszę Króla o oddanie tobie
»Tego, co ci się po oycach należy;
»Jan *) synom wiernych rad łaski udziela,
»Kładąc cię w poczet sarmackich rycerzy,
»Rodziców twoich uszanuie w grobie.
»Gdy się Kozacy przez Dniepru bałwany
»Z łupami Polski przedzierali skrycie,
»Jeden z nich stary, śród wielu schwytany,
»Szczerém wyznaniem uratował życie.
»On o twym rodzie sługi me zapewnił,
»Powiedział, które wydały cię strony,

*) Jan Kazimierz.

»Zeznał, przez kogo byłeś wykradziony,
»Opowiadaiąc o krwawych zaboiach
»Spełnionych w zamku twoiego pokoiach
»I osiwiałych żołnierzy rozrzewnił.«
Rzekł i gdy serce radość mu przenika,
Napełnia duży puhar winem starém
I krzyknął: »Żyy nam potomku Miecznika!«
Każdy toż samo czyni z swym puharem,
Szczéra wesołość panuie przy stole,
Huknęły trąby i kotły i rogi,
Stefan iuż nie tak, iak Kozak ubogi,
Lecz biesiaduie, iak w przyiacioł kole.

IV.

Szczęśliwy! nader szczęśliwy Stefanie!
Już do twych życzeń niczego nie zbywa,
Już każde twoie spełnione żądanie,
Bo twoią, wiecznie twoią Emma tkliwa.
W zamku twych przodków, na dostatków łonie,
Niebiańskich uciech poisz się nadmiarem,
Dusza twa w zdroiu uniesienia tonie,
A serce serca upoione darem.
Dwa wieki szczęścia siedzibę zwaliły,
Już teraz smętne gruzy tam się wznoszą,
Gdzieś z Emmą twoią poił się roskoszą.
Po czarnych murach wiie się bluszcz dziki,
W zwalonych basztach hukaią puszczyki.
Ich lot ciężący i krzyk ich niemiły,
Gdy noc swe czarne rospostrze kobierce,
Zgrozą przechodnia drżące poi serce.

Piewca *) twych uczuć dumałem czasami
Przy obalonych twego zamku murach,
Ślady twych czynów oblewałem łzami.
Wzrok móy w wieczornych utopiwszy chmurach,
Ubiegłych wieków szukałem w niebiosach
I o przeszłości rozmyślałem losach.

---

*) Piewca tyle, co opiewacz, znalazłem to słowo w Prawdzie Ruskiey uczonego Rakowieckiego i zalecam iako wyborne do poezyi.

KONIEC TOMIKU TRZECIEGO.

PRENUMERATOROWIE.

(Ciąg dalszy.)

Czaykowski Hipolit.
Górski Tymon.
X. Jachimowicz, Doktor filozofii.
Kremarski Piotr, Komornik stryyski.
Lewakowski.
Matkowski, Starosta.
Pawlikowski, Sekretarz przy Nadwornéy Kancelaryi w Wiédniu.
X. Rządzki.
Sozański Adam.
X. Talarski, Dziekan Żmigrodzki, exempl. 2

(Dokończenie nastąpi.)